











WŁ. GUTOWSKI ON



DUSZE  
WYWROTU

CYKL SIKICÓW

O KOBIECIE







# *Dusze Wywrotu.*



Wł. Gutowski Dusze Wywrotu.

Drukarstwo Wileńskie

---

Druk. „Zwłazek Drukarzy“ w Wilnie. Tel. № 199.



Wł. Gutowski [On] ·

# *Dusze Wywrotu*

*cykl szkiców o kobiecie*

*z czernastoma rysunkami.*

❖ Część I-sza. ❖

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WILNO 1911.

Nakład J. Noworytty i S-ki.

Skład w księgarni Zawadzkiego.



Okładka i rysunki Stanisława Kurczyńa.

Klisze w Cynkografii Juraszajtisa.

18.422

<http://rcin.org.pl>



## Kobieta wyzwolona.

**Z**ebrań dzisiejsze zapowiadało się nad podziw.

Prezeska pani Eulalja Machajska, znana w dziedziectwie piastów krzewicielka sensacyjno-pornograficznych arcydzieł panów Coc'a, Prewosta i drugich, zacierała „łapuchny“, co oznaczało wielkie zadowolenie i zdenerwowanie. W przerwach zacierania łapek, zręcznie, niedostrzegalnie wyciągała z kieszeni obciśniętej sukni, buteleczkę z *salamoniakiem* i chciwie wciągała orzeźwiający, ostry aromat.

Przychodziły chwile, w których, — ach! te pedle nerwy! przyzywała na pomoc drugą buteleczkę — z bromem.

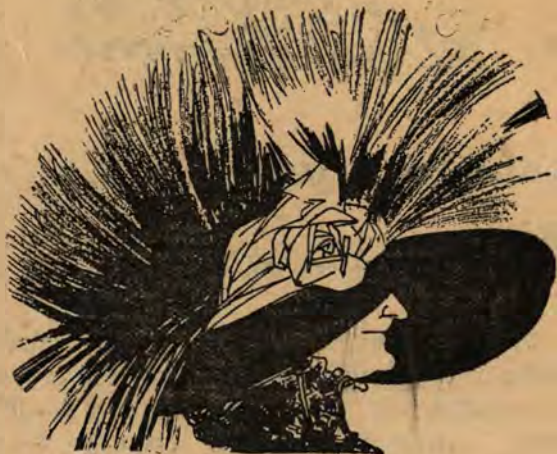
Gdy zaś serce łomotało, lub też zamierało, skuteczną radę nosła buteleczka trzecia, na której drobnem, kobiecem pismem ledwie dostrzegalny widniał napis „*Valer. Aeth.*“.



---

---

Do mów zapisało się całych osiem mówczyń.



Wiek tych pań wahał się między trzydziestoma i pięćdziesięcioma latami, pięknnością nie grzeszyła żadna, zato „specjalnemi“ minami chciały imponować jedna drugiej...

Przedewszystkiem wiało od tych przyszłych mówczyń coś, co się nazywa cierpkim chłodem, jesienną zawieją i nienawiścią do szczęścia, do słońca... Twarze (buziuchny) przeważnie wychudzone i wymalowane przypominały błaznów cyrkowych, powstałych po długotrwałej chorobie, lub też słynne mumie Egipskie,

na które patrzymy z ciekawością, ale i ze strachem — —

Tak, ze strachem.

Dla zimnego obserwatora każde zebranie kobiet wyzwolonych jest niesłychanie ciekawe, interesujące; te miny, te ruchy, spojrzenia, niedomówione i zjadliwie wycedzone słówka,—wszystko to bajecznie straszne i wstrętne...

Ktoś, kiedyś... jakiś szalenie rozumny człowiek, za pomocą wielkiej protekcji wlaź na takie zebranie. . Siedział aż trzy godziny, (podobno miał nerwy jak postronki) i dłużej nie mógł. „Skonam, skonam... niech mnie piorun trzaśnie, za moją ciekawość“,—jęczał męczennik sam do siebie.

Kiedy ostatecznie znalazł się na ulicy, to świat przedstawił mu się tak precudnie piękny, wesoły, ludzki, że przechodzącej jakiejś o sympatycznej twarzy żebraczce dał całego rubla.

To go jednak jeszcze nie uspokoiło... Szczęściem napatoczył się serdeczny druh. Nasz bohater cap go za szyję, całuje, ściska i ciągnie na wódeczkę.

— Daj mi spokój,—opiera się tamten.

— Chodź, chodź, opowiem ci coś... tragedia... komedja... a niech ich tam... kanalie... Chodź, zlituj się, niedobrze mi... coś mi wnętrzości ciągnie.

Poszli.

Koło jedenastej uczuł się już niezle i zdawało mu się, że jest spokojnym. Czasami tylko targnął nim jeszcze jakiś zapomniany—ukryty spazm. Wtedy potwornie wykrzywił usta.

— Żaby — o, o, o, żaby — szeptał, prędko zapijając wódką.

---

---

Otóż dzisiejsze zebranie zapowiadało się świetnie i uroczyście. Uroczyście z powodu zapowiedzianej mowy panny Wiwickiej, „znanej“ literatki, subtelnej bigotki i śmiertelnej nieprzyjaciółki rodu męzkiego.

Mowy pięćdziesięcioletniej panny Wiwickiej znane były z wielkiej swady oratorskiej, jakoteż z wielkiego nastroju poetycznego... Opiewała w nich (w chwilach uniesienia „natchnienia“) śpiewy łabędzie, kwilenia gołębie, rechoty wróbla, gęganie konia, kwiczenie indyka... i wiele innych pięknych rzeczy...

Była okropnie zawzięta.

Nosiła się tylko czarno... a pod czarnym ubraniem nosiła duszę—staro-panieńską.

Nienawidziła podobnych sobie, a rozczulała się i podstawiała do pocałunków farbowaną twarz, lub też całowała, aby za chwilę z całą sumiennością wytrzeć powalane usta.

Pozatem była chuda, miała wysuszone i za-



padnięte piersi i podobno sześciu kotów, (choć ostatecznie teraz nie w modzie).

Podczas własnej mowy rozczulała się szalenie, wpadała w trans; więc salamoniak, krople walerjanowe it. d. it. d. nosiła stale przy sobie.

Ale, ale, była jeszcze brzydka: nos długi, na końcu bulwowaty, wyglądał okrutnie, poważnie, przy małych czerwonych oczkach, wiecznie ciekących łzami.

No i głośno, otwarcie, nienawidziła mężczyzn...

Dla upokorzenia i zniszczenia znienawidzonego rodu oddałyby nawet swe—koty.

Dzwonek drugi.

Roztrajkotana fala wyzwolonych głów zakątyła się i hurmem rzuciła się do krzesel.

Prezeska ze swoim zagajaniem i sprawozdaniem licznych, wszechświatowych korespondencyi, z ostatniej podróży, jako delegatka, do krzywogich bab błotnistej Polesia, jakoby jęczących w okropnej niewoli u swoich mężów Fedków i Jurków, była wstrętne nudna. Prawda, potężna natura tworząc te niewiastę poskąpiła swojej szczodrości i odmówiła jej głosu, którymby, no, no... Otóż pani prezeska do wymownych nie należała. Zaś dziś, wyjątkowo nawet głos niedopisał. Z piersi jej wychodziło

jakieś mruczenie czy rżenie, przypominające zarzynanego wołu, lub głupio przetłomaczoną powieść z francuskiego lub angielskiego.

Przewodnicząca (z obioru) dziś miała nerwową czkawkę. Była to skończona neurasteniczka.

Dziś przy tak przepełnionej sali cały wieczór wmawiała w siebie, aby być spokojną.

A tu trach! Dostała takiego zaszczytu i... czkawka. Siłą woli tłumi ją, stara się mówić nie głośno, spokojnie. Czkawka chwyta za gardło... U-c-h! U-c-h! U-c-h!—rozlega się po sali. Ostatecznie rozplakała się głośno i musiały ją wyzwolone towarzyszki wyprowadzić do szatni.

Tutaj rozpoczął się spór, jedna strona wydziałowych (przeciwny obóz) proponowała dalszy ciąg obrad, druga zaś przeczekania, aż panią przewodniczącą opuści nieszczęśliwa czkawka.

Najgoręcej oponowała gruba, krótkka, pękata i głucha jak pień, pani Ochwiezowa. Nie nie słysząc udawała, że wszystko słyszy i zacietrzewiała się niesłychanie, wymachiwała rękoma, mrużyła niewielkie oczka, prychała ogórkowato zadartym nosem, i skrzecząc nosowym altem wykrzykiwała.

— Ależ, nie pozwalamy! Ależ, ależ!.. Wykrzykując wodziła na wszystkie strony słuchawką

trzymaną przy prawym uchu, przez co podobną się stawała do słonia w spódnicy...

---

---

Dzięki tak szalonej opozycji spór ciągnął się całe pół godziny. Zaczęła niecierpliwie się sala. Na razie odrywały się ciche, a następnie coraz głośniejsze okrzyki.

Po piętnastu minutach sala zaczęła wyć... jeszcze po pięciu minutach sala się zatrzęsła groźbą i zaczęła szaleć... Upłynęło jeszcze długich dziesięć minut i sala się wściekła...

Wobec ogólnej wściekłości, zacny zarząd wysłał na mównicę piskliwą pannę Dławiczównę. To dołało jeszcze oliwy.

Wściekłość zebranych doszła do niesłychanych rozmiarów... Panna Eliza chuda rzuciła się na pannę Dorę tłustą, wpiła jej swe ostre paznokcie w puciołowate policzki i wyła głosem głodnego szakala. Księżna Derowicz, wdowa po dwóch mężach, stanęła krzepko pod ścianą i trzymając batystową chusteczkę przy zezowatych oczach spazmatycznie płakała. Najpodlej znalazła się Pufcia, najstarsza córka ze sześciu doktora Popierskiego. Ta trzydziestopięcioletnia dziewczica, o twarzy podługowato—spiczastej, na długiej cienkiej szyjce (miała coś ptasiego), stanęła na środku sali i na przemianę, z uporem cyrkowego pajaca, lub skończonego idyoty,



raz prawą, to lewą ręką, posyłała wszystkim figę—figę

Wyobraźcie sobie!.. pokazywać komuś figę.  
Pomsta, zniewaga.

To też koło panny Pifci działały się okropne rzeczy—coś niepojętego.

Wrzało i kotłowało się—a najobficiej bryzgała ślina.

Niektóre w tym zaciętrzewionym kole były poprostu ubielone od plucia.

„Okropne dzieje przyniósł nam świat“.

Ostatecznie szanowne przewodniczące uradziły postawić na mównicy kogoś, któryby przekrzyczał całą wściekłą salę.

I wybór padł na jedną niewiastę.

I weszła ta niewiasta na mównicę.

I rączką zrobiła gest, ta niewiasta.

I otworzyła piękne usta.

I popłynął cudny hymn.

Adamie! Daję ci kwiat piękny, wonny, a tak powiewny,—rzekł wtedy Pan.

Ta niewiasta była piękna, wonna i powiewna...

Tak, ależ tak.

Ruchem, twarzą, plecami, rękoma, przypominała Giganta.

Twarz tęgo rumiana, czerstwa jak burak i okrągła, jak burak.



Na środku tego wspaniałego buraka siedział twardy, djabelnie impertynenci, ogórkowaty nos.

Ten nos miał w sobie coś szalenie głupiego, czy podłego.

Patrząc na ów nos, już cię człowieku brała

choleryczna złość.

Pod nosem znajdowały się usta: czerwone, mięsiste, wywinięte i wilgotne. Niżej ust broda, z kilkoma ciemnymi brodawkami, rzadka obrośniętymi twardym włosom.

Brodę podtrzymywał jeszcze jędrny podbródek.

I stała ta niewiasta na mównicy.

I otworzyła piękne usta, i z potężnych pierśsi rzuciła słowo...

Zmartwiało wszystko...

Ucichł zgiełk i wrzask.

Potężny król kazał milczeć wszemu robactwu.

O! trąbo Jerychońska, zlituj się!

O! potężny głosie Belzebuba, ucisz się!

Ol niewiasto z rykiem rozpętanego morza  
wód, zlituj się!

Nasza wina, nasza wina...

---

---

W celu ostatecznego ukołysania sali i przygotowania łaskawych słuchaczek, dla mowy panny Wiwickiej, weszła teraz na mównicę delegatka, wdowa po samobójcy, pani Dziudzińska.

Zacna to była kobieta...

Szelma mąż, już po rocznym rokosznym pożyciu, jednego słonecznego dnia, podczas obiadu, wyjął rewolwer i strzelił sobie w mózgownię. Kula jednak ominęła, czy też ześlizgnęła się z twardej skorupy i utkwiała w nosie rzeźbionego amora na drzwiach kredensowych.

W trzy dni jeszcze raz poprawił, ale już z dubeltówki—ten raz był skuteczny...

Zostawił jednak list, ostatnią swoją prośbę, w którym błaga gazety całego świata, aby głośiły: „z garbatemi kobietami niech się żaden mężczyzna nie żeni“.

Naiwny komik, sądził, że tylko z powodu garbatych żon trzeba się strzelać!

Pewno zapomniał, a może nie wiedział, że proste żony przyprawiają najpierw rogi, a potem pozwalają się strzelać.

Komik, naiwny komik...



Zatem pani Dziudzińska ma minę i wygląd „wstrętnej kreatury“...

Wielka i nieforemna głowa, poprostu wciśnięta w garbate plecy.

Przy plecach, z boku, wiszą jak wisielce, bezwładne i nad podziw długie cienkie piszczele.

Piszczele uzbrojone są jeszcze w długie kościste palce, krórcyrcy końce sterczą ostremi i twardemi pazurami.

Pani Dziudzińska, w tej chwili, minę ma urzędową—piszczele wiszą swobodnie, bez ruchu, jak złamana gałąź.

Oczy wielkie, zamarłe, rybie, patrzą prosto, z głupia boleśnie, niema w nich hardości ani pokory. Patrzą, aby patrzeć. Zato szczęka dolna, wysunięta naprzód coś żuje, niepokoi się... chodzi z lewa na prawo, z prawa na lewo.

Ta zawzięta szczęka z twardemi zębami, te piszczele z ostremi paznokciami—muszą być straszne...

A zabił się biedny pan Dziudziński—zabił..

Pani Dziudzińska jest bardzo wykształcona, i ważna rzecz--umie się trzymać. Każdy krok obliczony, każde słowo obmyślone.

Szczęka dolna rusza się taktycznie, nie za prędko i nie za wolno. Słowa płyną rytmicznie a twardo, można rzec stalowo.

Piszczele nieruchomo wiszą, oczy bez ruchu patrzą.

Pani Dziudzińska nie zapala się.  
 Podobno słowami miążdzy, a paznokciami  
 w kawałki ciało rwie.  
 Zastrzelił się pan Dziudziński.  
 Silna kobieta.  
 Wstrętna kreatura.

---



---

Sala spokojna, milczy jak noc i posępna  
 jak noc.

Czasami, gdzieniegdzie, zaszeleści jedwabny  
 rękawek, brzęknie upuszczone na kolana  
 lusterko.

I cisza—cisza.

Sala się skupia, czeka na mowę panny Wi-  
 wickiej.

Weszła — — Oklaski — — Kłania się.

Jeszcze jeden dyg—ręką dotyka piersi, i no-  
 wy dyg. Teraz patrzy w sufit. Szuka natchnienia.  
 Mówi.

„Musiał się aż świat przewalić, aby krwio-  
 żerczy tyran legł u stóp ciemieżonej!

Jasne słońce zmieniło bieg wielomiljonowy  
 i pokryło się fioletowemi plamami z oburzenia  
 na ciemieżców naszych!

Odwieczne bory huczały przekleństwami i  
 wzgardą, na podłych! kiedy słyszały nasz, nie-  
 utulny płacz niedoli naszej!

Spokojne jeziora pluły pianą w twarz nikczemnika!...

I szła wzgarda, szły łyzy, jako potoki górskie.

A twarde serce samca-człowieka jako lód było zimne!

Burzyły się gwiazdy, smuciło się niebo, i cała potężna natura, na całym tym bajecznie pięknym wszechświecie nosła potężny krzyk!

Krzyk buntu i prośby...

I nie „drgnęła w nin Dusza Myśl!“

Wieki biegły, a został tyranem.

Trzymał nogę na szyi kobiecej, gniótł pierś, która mu była karmicielką, dusił wszelakie zachcenia...

Aż przyszedł czas, że z trwogi zabiło mu serce — — —

Kobieta zaczęła wyzwalać się sama.

W drobną rączynę ujęła sztandar powiewny i głosem mocnym rzekła — żyję!...

I zbladła twarz tego, który się głosił naszym panem.

Dziś równi z równymi!... to nasze hasło.

Hasło to płynie już dziś po wszech obszarach, niosą go wiatry, niesie go ptactwo, nie-siemy i my, które czujemy, że ręce nasze nareszcie wolne.

Od Himalajskich wzgórz, przez Sacharę, gorące pustynie Chiwy... Od Azji do Północnego morza, przez Bosfor i Adryatyk do dziewiczych



lasów Ameryki... Brzegami Gangesu—idzie już teraz zwycięzka pieśń pionierskiego pochodu kobiety wyzwolonej!...

Tak, tak, powstaje kobieta!... budzi się uśpio-ny olbrzym, i sztandar opyla z wiekowego kurzu! Cudne pta...

— W kwestyi formalnej, proszę o głos! przeleciał ostry, jak syczenie węża dusiciela, głos.

Sala poznała głos. Znali go wszyscy dobrze.

I zaskrzepły w słuchaczkach żyły, stężały nerwy, zamroziły się, i serca bić przestały.

— Czy to dr. filozofji panna Trujaska prosi o głos?—spytała swym tubalnym głosem (już bez czkawki) przewodnicząca.

— W kwestyi formalnej i pilnej, — syczy odpowiedź.

— Proszę!

Po chwili na środku sali, z pomiędzy powodzi białogłowskich wyzwolonych głów, pionunem wystrzeliła tyczka—czupiradło.

Tyczka obwieszona była gęsto czarnymi gałgankami i gałganami.

Na górnej części onej ruchomej tyczki wisały jeszcze dwie mniejsze, krótsze, jakoby młodsze siostry, które w tej chwili zamieniły się w dwa skrzydła szalenię rozpędzonych śmig samolotu.

Podobno były to ręce.

Sam zaś wierzcholek tyczki ubrojony był w podługowatą bryłę, którą po bliższym obejrzeniu nazwiemy głową.

Otóż głowa ta była podługowata w kształcie młota czy kowadła. Na samym czubku leżał, czy stał stożek siana (ucziesanie greckie).

Stożek pionowo rozszerzał się i jedną stroną, jakby łapą, osiągał bajecznie płaskiego czoła, przykrywał go do połowy i wygięty w lewo biegł w kierunku ucha, przy uchu wspinał się w górę i ginał aż na samym czubku.

Pod bajecznie rozplaszczonym czołem gorzały dwie wielkie gały, czarne gały. W tej chwili jedna gała patrzyła okrutnie podle na zdumioną i trzęsącą się w tajonej wściekłości pannę Wiwicką, druga zaś gała pilnie i przenikliwie rzucała się po zebranych i również zdziwionych słuchaczach.

Przeszło długich kilka chwil ogólnej martwoty i wyczekiwania, gdy nareszcie głowa tyczki wyrzuciła nowy syk.

— Szanowna mówczyni za lekkomyślnie traktuje geografję, za wielkimi krokami przekąkuje świat.. Ponadto, bardzo mylnie twierdzi i to z wielką pewnością.. jakoby nad przepięknymi wodami boskiego Bosforu kobieta wyzwała się..

Tutaj znowu ta gała nieruchoma, miażdżąco

rzuciła się na dygoczącą, z zaciśniętymi pięściami, pannę Wiwicką, a druga, przybrawszy ponownie szalony pęd, tłukła się po fryzowanych głowach, farbowanych twarzach, wyczernionych oczach, jakby w poszukiwaniu wrażeń wyrzucanych przed chwilą słów.

Nowy straszny syk.

— Otóż, wiemy wszystkie zebrane tutaj, że podły Turczyn, w swojej wściekłej zazdrości o cudną twarz kobiety — zakrywa tę anielską twarzyczkę zawojem. . Ba, posuwa swój despotyzm jeszcze dalej...

Ciężkie westchnienie, gały skromnie, na jedną chwilę, przykryły się powiekami. Lecz zaraz stały się jeszcze groźniejsze, przebieglejsze.

— Pani odbiegła od kwestyi formalnej, — woła tubalnie przewodnicząca.

Teraz zwraca się do p. Wiwickiej.

— Proszę mówić dalej.

W tej chwili gały zamieniły się w jakieś straszliwie ziejące potwory; szła od nich groza i zagłada; ta lewa nagle stanęła i wypadłszy z orbit, wstrętne drżąc, strzelała nienawiści zdrojem w pomarszczoną, zawiędłą i wypudrowaną twarz przewodniczącej.

Jak na komendę, skamieniał i wściekły pęd bocznych tyczek, stanęły one w górze, jak ramię z pałeczką dyrygenta.



— Jeszcze nie skończyłam,—syczy wstrętnie jadowitym sykiem.

— Pani odebrałam głos! huczy znów przewodnicząca, powstrzymując siłą nową czkawkę.

Tyczka teraz robi ruch naprzód, jakby w zamiarze uchwycenia czegoś.

Małe tyczki zaostrome długimi, cienkimi palcami też niepokoją się, skubią; to otwierają się, to zamykają. W końcu opadają bezwładnie, co czyni i cała tyczka.

Teraz panna Wiwicka łyknęła raz i drugi powietrza, a potem zaraz poprawiła wodą ze szklanki, kilkanaście razy mrugnęła oczyma, aż podniosła ręce przed siebie, potem w górę, w końcu opuściła je swobodnie.

Zbita była w tropu i nie mogła przyjść do słowa.

W końcu wyjęła jakieś karteczki i zaczęła po nich pilnie nosem jeździć.

Jeszcze raz łyknęła wody.

Zaczęła mówić.

„I przyszedł po wielu dniach taki dzień, w którym złote słońce zdejmowało z gór i skał zasłony—a wiatr rozsiewał pianę szafirów morskich, i kwitły róże, wysmukłe lilie, białe dzwonki, i lesne gwoździki,—kwitły dla nas, dla kobiet“.

„I oto nagle podniósł ogółocną swą głowę Adam, król ziemi, i drżącymi ustami siał przekleństwa.

Był już niemocny... Stracił potęgę i siłę, gdyż nie stało przy jego boku niewolnicy—kobiety.

Kobiety, która była mu dana, jako „czysty powiew wiosny idącej z czarą upojeń (?), białej lilji, jak śpiew słowicy w kwicciach liljowych bzów, jak puch biało—różowych kwiatów jabłoni, kryjących przyszłą tajemnicę“ (!?)

Na sali ogromne poruszenie, moc westchnień. Ta i owa piękna „czysty powiew“ sięgnęła spieszenie do lusterka i zaczęła się porównywać do „liliowych bzów“; a jakaś nawet gruba jejmość o spoconym nosie, wycierając takowy przybrudzoną chusteczką, szepnęła:

— A co, „miałeś chamie złoty róg“.

W tej chwili panna Wiwicka wpadła w trans: „Miała być jego towarzyszką na padole wygnania, a on z niej zrobił..

— Tyran! Tyran! pisnęło naraz kilkanaście głosików po sali.

Przewodnicząca dzwoni.

„I miała być dla niego wcieleniem marzeń o pięknie, marzeń w dni lepszej przyszłości... miała mu być pomocną i podnosić ducha jego podczas wojny, ucisków, w szalonych szatach pychy, w potępionych orgiach zmysłów... miała go wieść ku błękitom i promieniom ducha, po nad ziemią, lasami..

— W kwestyi formalnej proszę o głos,— syknęło po sali.

— „A on skaził tę świętą kobietę tchem swym nieczystym, wynaturzonych żądź swoich, skalał ją i zabił w niej ducha wolnego, obez władnił ją i myśli jej“.

On stworzył dla nas osobne prawa, zamknął nas jak zwierzę i przeznaczył wyłącznie dla siebie.

— Żadna uczciwa kobieta, przecież nie może mieć dwóch mężów—szepnęła nowa jakaś niewiasta.

„Kobieta leżąc w tej przepaści obostrzonej kodeksami pisanemi wyłącznie przez mężczyzn“...

— Przecież kura nie rządzi tylko kogut, tak już pan Bóg przykazał,—krzyknęła całym głosem tłusta jejmość, zawzięcie obcierając może po raz setny spocony nos.

— Proszę zachować się przyzwoicie i nie przeszkadzać!—tubalnie woła przewodnicząca.

Tłusta jejmość zakipiiała.

— E! bo głupstwa gadacie! Przyszłam, bo mię namówili, ale teraz żałuję i wychodzę.

Szykowała się do wyjścia, lecz widząc kilkadziesiąt szydełkowatych oczu na sobie, sapnęła ciężko i usiadła.

Panna Wiwicka mówiła jeszcze pół godziny, przeskakiwała z mężczyzny-tyrana na kobietę-pocieszycielkę, którą znieważano, poniewierano jako człowieka, a przymilano się, gdy szło o samice...



Gdy była mowa o samicy i samcu, wtedy te o zapadłych piersiach robiły straszne miny, wybałuszały oczy i rzucały niemi całe snopy pogardy na towarzyszki zamężne lub wdowy.

Ostatecznie, przy końcu wszystkich mów nie zostało ani jednego człowieka—Adama.

Pozostały same Ewy, — dziś jeszcze pogardzone, wyśmiane... lecz słońce idzie! i ten „co nie chciał uznać praw sprawiedliwości—zwiany zostanie—jak cień“...

Stanowisko jego zajmie kobieta.

Kilka słów do mężczyzn.

— A co, dobrze wam tak! bardzo dobrze, panowie mężczyzno... kobieta obiecuje, że będziecie „zwiani jak cień“.

Niebezpieczeństwo zagraża wielkie..

Jednak, coś trzeba radzić, aby się ratować.

Więc?... więc?..

Aha! odpowiadacie, że wszystkie kobiety feministki, omancypanki, wyzwolone, sufrażystki, niezależne i dyabli wiedzą jakie tam jeszcze należą do tych wybrakowanych szeregów... że one wszystkie są szalenie brzydkie... i że nienawisć nie tylko do mężczyzn, lecz do całego świata, czerpią ze swojej własnej brzydoty...

Aha, więc śpijmy i jedzmy smacznie obok naszych pięknych żon...



## W a l k a.

**P**ani Stasiowa należała do kobiet ładnych. Jasna blondyna, oczy duże, habrowe, pokryte piękną siatką wiecznego smutku, czy zamyślenia... Nosek nadzwyczaj foremny. Usta śliczne, czerwone jak najpiękniejsza purpura... Piers masywnie zaokrąglona i wyzywająco wysunięta naprzód, a tak ponętna i przytulna, że, że... Pozatem świetne, w sam raz wydatne biodra, i maleńka, misternie wyrzeźbiona noga.

No, kobieta ładna, sympatyczna, ułożona, że Stachowi ludziska głośno zazdrościli.

— Ma chłop szczęście,—mówili znawcy, cmokając ustami.

— Ba, dziesięć lat szukał i znalazł, znalazł—szeptali starzy kawalerowie, nadrabiając minami.

Chwalili wszyscy, zazdrościli wszyscy...

Zato Stach głowę co raz mocniej w ramiona tulił, chudł, żółkł... a kiedy był sam, to, jakby na pociechę, do siebie gwarzył:

— Wpadłem, dyabło wpadłem... a tym durniom zdaje się, że, jeżeli się coś świeci—to już złoto.

Zatym, pani Stasiowa była ładna, wesola, gościnna, ale—ale—.

Zaraz w pierwszych miesiącach po ślubie mało kto bywał u nich, a gdy nawet i ktoś przyszedł, młoda żoneczka czuła się zażenowaną, skromnie spuszczała oczęta, rumieniła się; wogóle niezbyt chętnie wdawała się w rozmowę.

Z biegiem jednak czasu nabierała pewności, rezonu, śmiałości. Należycie oceniła już twardy grunt pod nogami...

Stawała się śmielszą i coraz bardziej wygadaną.

Przyjdzie ktoś ze znajomych Stacha, ona zaraz pierwsza...

A jakże, rozsiądzie się na fotelu, główkę poważnie na prawy bok przekrzywi i jedzie—jedzie.

— Maszyna, jak Boga kocham maszyna,— myśli Stach, patrząc na ładną żonkę z niechęcią.

Zżymał się, czoło marszczył, ładnego wąsa pokręcał. Myślał, ważył, szukał sposobu, lekarstwa. W końcu machał ręką.

— Wygada się i przestanie, — decydował pocieszająco.



Widząc jednak, że maszyna nabiera coraz większego rozpędu, zwrócił tak sobie, w sposób żartobliwy, uwagę.

Po kilku dniach spostrzegł, że uwaga jego oślizgnęła się bez śladu, zrobił jeszcze jedną, grzeczną, lecz mocniejszą próbę.

— I tutaj kłapa, — myślał, kręcąc głową z nadmiernego frasunku.

Następne ataki i próby nie pomogły nic a nic. Ostatecznie postanowił wziąć się na ostro.

— Nic, tylko zrobię większą scenę, a pewno upamięta się i w przyszłości jeszcze mi podziękuje.

Ale pocziwina omylił się.

Pani Stasiowa na pierwszą ostrzejszą uwagę przygryzła aż do krwi usteczka, potem zaraz oblała się ponsem i prawdopodobnie na złość Stachowi do samego wieczora nie wypuściła pary z buzi.

Upłynęło kilka dni. Uwaga poszła w zapomnienie. Stach znowu się zafrasował, lecz cierpliwie czekał nowej okazji do przypuszczenia jeszcze ostrzejszego ataku. Było to wieczorem. Stach z miejsca przyciął, udał trochę rozniewanego.

— Proszę, aby ta uwaga moja...

Nie dokończył, bo pani Stasiowa rozplakała się jak dziecko, nieutulnie, żałośnie i gorzko.. Wśród łkań nazwała Stacha tyranem, ciemieżcą,

gnębicielem słabych dusz „i gdyby była przewidziała, że takim będzie, to byłaby wyszła za pana Władysława“...

Stach był dobrym chłopem, serce miał słabe, więc łzy żony bolały go niepomieranie. Uspakajał jak tylko umiał, całował ręce, czerwone usta i zapłakane oczęta.

Po kilku jednak dniach już niczem nieprzerwanego spokoju, dyabli przynieśli Janka. Miał jakiś osobisty i ważny interes do Stacha.

Siedział całe dwie godziny i ostatecznie nie powiedział nic;—po pierwsze, pani Stasiowa nie dała przyjść żadnemu do słowa i mówiła wciąż: o teatrze, o nowych książkach, o Warszawie, o przyszłym gabinecie męża, który sama zakupi i ustawi;— a po drugie, gdyby nawet i zaprzestała na parę minut, to i tak Janek nie by nie mógł powiedzieć, gdyż interes był tylko osobisty, to jest na cztery oczy.

Ostatecznie pan Jan porozumiał się oczami ze Stachem i obadwaj wynieśli się z domu.

Po powrocie, Stach zirytowany zaraz z miejsca zrobił żonie scenę... i tutaj spotkała go druga niespodzianka. Bo też i ona pokazała co umie.

— Jam tu dla asana nie żadna dziewczka,— syczała, tupiąc drobną nożyną i srogo, nieprzejednanie zaciskając piąsteczki. Poniewierać się nie pozwolę, rozumiesz pan!

— Ale ja chcę być u siebie w domu,—odezwał się Stacho.

— To trzeba się było nie żenić. Nikt cię o to nie prosił... Nie wzięłyby jeden cymbał, to wzięłyby drugi dureń... Nie uszczęśliwiłeś mnie swoją osobą, miałam o wiele lepsze partje...

— Szczęśliwi tamci, co się wycofali w porę,—wyběbnił basem szyderyczym Stach.

— Proszę, proszę, wolna droga!—zawołała z żywą gestykulacją. Można nawet dziś wyprowadzić się. Szczęśliwej drogi...

Stacha już opuściła złość. Teraz patrzył i dziwił się, i nie mógł w żaden sposób zrozumieć złej bezczelności tej oto swojej żoneczki. A kiedy pokazała mu z wyzywającym gestem drzwi, po prostu chciał koniecznie uwierzyć, że to jest sen, lub jakieś głupie, nędzne, idyotyczne przywidzenie. Poczciwy jego charakter ogarnął tajemny wstyd za tę kobietę, która przecież w tym domu jest zaledwie kilkanaście miesięcy, a wniosła do niego tylko swoje ciało i trochę dla siebie bielizny...

— Ta kobieta jest ohydna—myślał w głębi swego ducha, wychodząc po cichu do drugiego pokoju.

— Wstrętna —kończył, krzywiąc usta i zamykając drzwi na klucz.

Po tym wypadku całe pięć dni nie mówili do siebie ani słowa.



Pierwsze dwa dni pani Stasiowa coś dyabelnie latała. Podobno odwiedziła dwa razy matkę, następnie trzy ciotki i kilka przyjaciółek.

Szukała rady na niedolę swoją.

Trzeciego dnia napisała list do Stacha, z prośbą o wyrobienie dla niej osobnego paszportu.

Stach był za stary, aby dać się wziąć na takie kawały, uśmiechnął się tylko pod wąsem, machnął niedbale ręką i szepnął: „Głupia“.

Piątego dnia wieczorem przyszła teściowa, i niby nic nie wiedząc o gniewie małżonków, wpakowała się do gabinetu Stacha, roztrajkotała mu głowę, a kiedy przyszły jeszcze dwie ciotki stare panny, tak znakomicie nastawiły sytuację, że małżonkowie chcąc nie chcąc musieli się zejść w jadalnym pokoju—i lody się przełamały.

Ale Stach do młodej i ładnej żoneczki już bardzo ochłódł. Za poczciwym był na despotę, a za rozsądnym na pantoflarza. Przedewszystkiem zabronił swoim przyjaciołom, stanowczo, odwiedzać siebie.

— Masz jaki interes, mówił temu i owemu, to napisz... przyjdę sam... Dla powietrza... doktor kazał mi używać dużo spaceru. . ruchu. . przyjdę sam... lub zejdziemy się w cukierni czy w knajpie.

Otóż i dziś. Wiatr wyje, śnieg sypie. Ziab, że do szpiku dochodzi.

Na taką psią pogodę musiał z domu wyjść, chociaż miał pilną pracę biurową.

Franek pisał o jakimś ważnym interesie.

Stach domyślał się i chcąc nie chcąc idzie na spotkanie—do knajpy.

— Ożeń się, — syczy przez zacisnięte zęby, chlapiąc kaloszami po błocie. Psiakrew! ożeń się... Płać mieszkanie, którego prawie że nie jesteś właścicielem... Kup miękie meble, na których nie możesz siedzieć, aby żony nie rozniewać.. Ożeń się, weź żonę, która ci nie da dobrego słowa... pracuj, zapracuj się nawet, aby dać jej wszelkie wygody i próżnowanie... a kiedy kogo dyabli przyniosą.. naprzykład teściową!...

Tu poczciwy Stach nagle stanął, i zdawało mi się, że się rzuci na pierwszego przechodnia, chwyci za gardło i będzie dusił w celu wywarcia zemsty za to podłe życie.

Upamiętał się jednak. Mocniej ręce wsunął w kieszenie i idąc dalej mruczał.

— A to ci podłe porządki, ani mi przez mózg coś podobnego nie przeszło... dobrze było.. a teraz co, darmozjadów trzymaj.. Przyjdzie choleryczna ciocia. już stół zastawiony, teściowa, wujenka, sztubak kuzynek... no poprostu rozpacz ogarnia.. A przecież do pioruna posagu nie wniosła ani grosika.. a moja pensja... sto

rubli .. przeżerają... dalibóg, nie wiem co dalej będzie.

Wyjął papierosa, zapalił i pomimo woli w nowe pograżył się myśli.

— Rozkosze małżeńskie... ciepła pierzynka... chciał plunąć, lecz przechodził jakiś uczciwy człowiek i szepnął mu.

— Nie pluj pan do dyabła na ludzi.

Uspokoił się:

W tej chwili przyszła mu na myśl Ludka.



— Śliczna to była kobieta, i wiele razy mówiła mu: „Stachu, będę ci wierną jak pies, przy nogach leżeć ci będę... Będę u ciebie służącą, gospodynią — i wszystkim, tylko się nie żeń... zginiesz...

dobrych kobiet, idealnych żon prawie niema na świecie... Tyś poczciwy i zamęczysz się, do grobu prędko zajdziesz“...

W knajpie czekał Franek, zajęty już piwem i pilną rozniową z kelnerką Wandzią, którą i Stach znał kiedyś, a nie widział jej cały rok, to jest prawie tyle czasu, jak dawno był żonaty.

Wanda, spostrzegłszy go, przybrała bardzo



poważną minę, wyciągnęła rękę na przywitanie z po za fartucha.

— Kto żonaty, to kosmaty, — śmiała się. Ale wygląda pan coś nie tego, — kończyła, bacznie patrząc nań krótkim wzrokiem.

— Tak, nie zupełnie dobrze się czuję... trochę chorowałem, — prawie wyciskając słowa odpowiadał.

W duchu zaś myślał.

— Idjotą jestem.., przed taką, phi, tłumaczę się, jakby jaki sztubak przed profesorem.

Widział i Franek zły humor Stacha, a przysięgł, jako dobry przyjaciel, wiedział coś nie coś, że Stach żonę ma nie zupełnie według swej myśli. Postanowił rozruszać przyjaciela.

— Wiesz co, zanim przyjdziemy do tego tam interesu, trzeba się czemś pożywić.

I nieczekając odpowiedzi, zwrócił się do Wandzi.

— Wandeczko! macie tam co dobrego?

Koniak był dobry, jedzenie smaczne, do gardła jednak nie lazło, i humor Stacha nic a nic się nie poprawił. Ostatecznie o dziesiątej wyniósł się jeszcze bardziej zirytowany.

Wiedział, że dobra i młoda żoneczka przywita go zjadliwym uśmiechem, pewno dołoży i kilkanaście epitetów coś w rodzaju: „włóczęgi nocnego, przykładowego męża, tak dłużej być nie może i t. d.“. Jednak wołał już tamto, ani-

żeli siedzieć tutaj i wysłuchiwać tej podłej muzyki i unikać mętnych, niewyspanych, a dyabelsko zalotnie proszących oczu rozwydrzonej Wandeczki.

Na ulicy było prawie pusto. Gospodarował wiatr ze śniegiem, junacko zasypując całemi chmurami ulice, chodniki i rzadkim przechodniom oczy.

Stach minął ulicę Foksalną, za chwilę Ostrobramę, gdzie zastał kilka postaci skulonych, klęczących na ośnieżonych kamiennych płytach, żarliwie modlących się do przenaświętszej Opiekunki.

Nagle tuż przy pałacu Ossolińskich pędem przeleciały sanki.

Stach machinalnie spojrzął i dreszcz przeszył mu ciało.

Nie mylił się, to Ludka.

Ależ tak, Ludka.

Stanął, właściwie stężał, tylko wyciągnął jak żóraw szyję i łapczywie a tęskno patrzył.

Obejrzała się i kobieta, a teraz nawet wygięła całą siedzącą postać, i wzięła się naprzód, by ptak, kiedy się zrywa do lotu.

Za chwilę byli już przy sobie i słyszeli dygotanie własnych serc.

Trzęsła niemi burza tem co jest i tem co będzie.

— Żle ci Stachu?—pytała zduszonym głosem.

Milczał, zato oczy płonęły mu przecudnemi pochodniami, a zaciśnięta drżąca pięść miażdżyła drobną rączynę kobiety.

Kobieta ciągnęła do sanek.

— Chodź, — mówiła lękliwie, a z mocą.—  
Chodź.

Usadowiła, okryła skorzanym fartuchem kolana i patrzyła w oczy, połykając zcicha własne lzy.

Prawie że w bezwiednym zapamiętaniu tulił się do jej boku, twarzą dotykał futra zapiętego wysoko pod szyją i wchłaniał rozdętymi nozdrzami zapach znajomych sobie perfum.

Koń był dobry, pędził jak szalony. Aby dalej, aby dalej...

Stach wrócił o piątej do domu.

Leżąc już na kanapie w gabinecie, spostrzegł, że jeststwo jego rozpadło się na dwie połowy, całkiem nie pasujące do siebie.

Tutaj ślepy i twardy obowiązek męża, właściciela gniazda, w którym wstrętne węże, oślizgłe płazy, gnieźdząc się, wytwarzają życie pełne bólów, zgrzyzot i szyderstwa.

Tam zaś... Ludka, uroczą idylla cherubów... Życie serca bez końca rozkoszy... Niesłychanie piękny, jasny dzień słoneczny!...

Rzucał się, przekładał ceratową poduszkę... a szmery rosły i rosły, targając duszą i ciałem.

— Przecież jesteś uczciwym człowiekiem,



mówiły mu do ucha cicho, łagodnie,—masz żonę zaślubioną według uświęconych przez ojców i praocjów dogmatów... jesteś polakiem, a polak to uczciwość... a może dzieci będą!.. No pomyśl, tak rozsądnie, uczciwie—jaka to będzie rozkosz wychowywać przyszłych obywateli, uczciwych obywateli dla Ojczyzny... Ojczyzny—a ona taka skołatana, nieszczęсна ta ziemia ojczysta...

Zaczęły go ogarniać poty, podniósł się iszerokimi krokami mierzył długość pokoju, przysłuchując się tym głosom własnej duszy. A one nie próżnowały, po chwili gdy usiadł w miękkim fotelu, z nową siłą, jakby z uporem pijaka, otoczyły go kołyszącymi się wieńcem i z głupia podrygując lamentowały jakąś patryotyczną starą pieśń legionową.

— A tom ci wpadł w patryotyzm i kąpię się w nim, jak anarchista we krwi,—szepnął już zły na siebie.

— Nic niechę od ciebie, — huknęło teraz nowemi pożądliwemi głosami. Nic niechę... niechę i pocałunków, żadnych ślubów przy zimnych marmurowych ołtarzach!... Co mi ołtarze!... Jam twój pies... Co mi opasły bezmyślny klecha?... Jam twoja sługa. Patrz, ciało mam piękne... znasz je wampirze mój piękny.. W rozpętanej pieszczocie ssałeś tę pierś, a jam ci pieśń miłości nuciła... Nic niechę od ciebie,

wierną siostrą ci będę, a tak uczciwą... jeśli zechcesz, zamienię się w niesłychaną bigotkę, na klęczniku grochem sypać będę. a plecy do krwi poorzę rzemieniem... A zechcesz, będę twoją bachantką, najpodlejsze, najnikczemniejsze w sprośnem wymyśleniu czyny wykonam z uśmiechem na ustach... Nic nie chcę od ciebie... niewolnikiem twym jestem... znoś mi znalezione na ulicy bękartów... chcesz, śmiać się do nich będę, przyjmę jako mych braci i siostry i wychowam ich na szlachetnych patryotów, na ludzi, którzy żyć i umierać będą umieli... Nic nie chcę od ciebie..

Stach drgnął. Błyskawicznie zerwał się i wyciągnął w ciemną przestrzeń pok ju umęczone ramiona.

— Ludka! szepnął z lękiem, ej Ludka... dusza za tobą... do ciebie...





## Kobieta arystokratka.

**P**ewno znacie panią Łucię, właściwie hrabinę Łucię.

Piękna! rzeczywiście piękna!

Wzrostem średniego mężczyzny, włosy czarne, połyskująco krucze, nos klasyczny-rzymski, rysy twarzy tak foremne, spokojne, jak gdyby wykute z najpiękniejszego marmuru przez jakiegoś geniusza rzeźbiarza, oczy czarne, ogniste, załamane, brew gęsta, świeża...

No, istna królewna z bajki — —



Obecnie ma lat trzydzieści pięć.



Od pięciu lat jest wdową.

W pżyciu małżeńskim była bardzo nie-  
szczęśliwa

Podobno mąż był tyranem, egoistą.

Podobno — — a może bał się, aby jaki in-  
truz kukułczego jajka w gnieździe nie ostawił.

Wszak bywa bywa — —

Nie tak dawno jakiś magnat na Wołyniu  
zastrzelił furmana dla tego, że, że, no, bo mu  
żona powiła dwóch synów rok po roku z rudemi  
głowami...

A właśnie rudą głowę miał ów „nieszczęś-  
liwy“ furman \*), od cugowych koni.

Może się magnata żona zapatrzyła?...

Wszak bywa — — bywa — —

Zatem hrabina Łucia po śmierci męża trybu  
życia niezmieniła. P. została dalej w zamknięciu.

Ludzie wychodzili z podziwienia.

Kołał ten i ów łysy, przygarbiony począt-  
kującym tabesem — panicz.

Kołałało kilku podszarganych z trzęsącemi  
się nogami wdowców.

Napróżno — drzwi jak do Sezamu stały zam-  
knięte.

\*) Miał to być człowiek suchy, żylasty a silny, że  
dziesięcioletnie sosny łamał w konarze.

Raz nawet czwórka karych zajechał książe Zbaradyński.

— Melduj!—krzyknął nosowo — piskliwym głosem, do stojącego lokaja we drzwiach.

Po chwili wrócił fagas.

— Jaśnie pani słaba, przeprasza bardzo.

Kłaniał się nisko, w pałak.

— A to twarda baba, do zakonu pewno wstąpi, mówili z szacunkiem.

Pesymlści, a szczególnie ci odpaleni, chcieli widzieć coś innego.

Kręcili głupkowatemi głowami, pociągali nadgniętymi nosami i wietrzyli.

— Ma kogós baba, ma,—gegali przez nos.

Ale wszelkie dochodzenia, badania, szpiegowania niepomogły nic a nic.

Wdowa została czysta—jak woda na jeziorze Świtezi.

Czy w Wilnie, czy to w majątku, zagranicą, wciąż sama i sama, i ucziwa.

I piękna, coraz piękniejsza.

— Ucziwie żyje, i dlatego piękna i młoda, — mówili ci, którym rozpustne życie zjadło zdrowie.

— Nie tak by ona wyglądała, — przebąkiwali epikurejczycy. Wszak najmarniejszy robak, nawet ten liść na drzewie, aby dobrze wyglądać, musi żyć, jak natura każe...

Gadali, gadali, bo od czego są ludzie?

Natrętną muchę możemy zabić, złego psa na łańcuchu uwięzić, od deszczu parasolem się zasłonić— — ale od języków ludzkich nic... jesteśmy bezsilni, jak ten rybak na wzburzonych bałwanach; grożą mu okropnym rykiem, plują słoną pianą, kręcą łodzią na wszystkie strony— a rybak bezsilny — —

---

---

Aż razu jednego lunęła pomiędzy wyperfumowaną hołotę mocna wieść.

— Pani Łucia ciężko chora!

I rzeczywiście szacowne zdrowie arystokratki musiało być w niebezpieczeństwie, gdyż telegraficznie zawezwano synów.

Polska arystokratyczna synów swoich, tych przyszłych obywateli i obrońców ciemnego ludu, kształci zawsze za granicami kraju.

Synkowie hrabiny Łucji wychowywali się również na obczyźnie: Alfons szesnastoletni gdzieś tam na ziemi niemieckiej pod Berlinem, młodszy Gabryś w samym Paryżu.

Młodzi panicze zadowoleni, że się gratka trafiła i można jakiś czas się nie uczyć, pędzili kurjerskimi pociągami, aż iskry z kominów sypały.

---

---



Nieszczęśliwą wieść o chorobie wielkiej pani pochwyciła prasa. Pijacko rozbujałe umysły panów dziennikarzy zrobiły okropne nieszczęście, potężny dramat, niepowetowaną szkodę!

Ci konserwatywno-demokratyczni kołtuniarze krzyczeli.

— Czuj duch! Narodzie ręce łam! Szaty drzyj! nasi przewodnicy, nasze pochodnie gasną!..

Czarni, z lisiemi spojrzeniami ugodowcy zaraz zaczęli wyliczać, z jakimi to tuzami Petersburskimi czy Berlińskimi czcigodna hrabini miała bliższe czy dalsze znajomości.

Czerwoni postępowcy długi czas milczeli, w końcu wyszczerzywszy kły, jak rozjuszony buldogi, warknęli:

— Dobrze, że chociaż jednej sobaki mniej będzie na świecie.

---

---

Hrabina tymczasem o świecie nie wiedziała...

Nie widziała nawet i nie czuła, kiedy synkowie na pół z płaczem i półśmiechem, starszy po niemiecku, młodszy po francusku witali ją.

Leżała nieruchomo z oczami na pół przymkniętymi.

Czasami tylko jakiś wewnętrzny ból dławił ją, wtedy niezwykle szybko przebierała palcami, a z ust prawie zaciśniętych wyrывało się ostre słowo;

— Nie zabijaj!... . . . . .  
 . . . . .

## II.

Na piernatach, w piernatach, i pod piernatami, leży hrabina Łucia.

Piękna głowa w bandażach.—Na tych powijkach jak kura na jajach, bardzo poważny i pewny siebie siedzi pęcherz z lodem.

W tej chwili nie jest tajemnicą choroba pięknej hrabiny.

Po kątach wielkiego pałacu, w tych szarych kątach, włóczą się mary — —

— Wypadek, okropny wypadek,—szepczą.

— Hu, hu, ha, hu, alo, ala,—huczą przyciszone echa.

Od uderzenia pięści pękła czaszka.

Psiakrew podły mazur — — ale żeby taką twardą mieć pięść.

Młot do płaszczenia żelaza.

— Mocny mazur, tęgi mazur,—dudni w kominie.

— Zawzięta szelma—cham! cham! szczerząc spiczaste kły—bełkocze Wyspiańskiego chochoł.

Uh, uhu, uh, danaż, moja dana!

— Rozjuszony samiec,—mamrocze tęskliwie prababka z lewej strony na ścianie.

— Wyrodna córka,—wtórzy żałośnie jej towarzyszka z czasów Leszczyńskiego.

— Myśmy inaczej służyli Ojczyźnie!—grzmi zakuty w żelazo rycerz z ciemnego kąta.

— Rozpustni ojcowie pładzą rozpustne dzieci podchwytuje znowu chochoł.

Danaż moja dana...

Zachciało się wielkiej pani chłopu samca.

Ba, ba, posiada gust—wie, co jest krzepkie i pewne...

A mazur, psiakrew, muskuły ma jak Cyklop, a garście jak bochenki...

Kiedy stanie w nogach, to, to, skała.

Od śmierci męża—ten czwarty.

A wszystko chłopcy, że, no!

Pani, jaśnie pani złota ma w bród, lokaj może zmieniać — —

I ten już czwarty.

Już pan mąż coś podejrzewał, że pani żona lud kocha ..

Pan hrabia pewno jeszcze więcej coś wiedział i, i, ach,—może być dla tego za wcześniej umarł.

Bał się za życia rogów.



Bał się kukułczego jajka, powstałego z chłopskiej siły.

A może byłby darował sobie życie, gdyby intruz do małżeńskiego łoża był chociażby szlachcicem...

A nie jakimś tam chamem ze świętej Żmudzi, aż za Kownem...

---



---

U Przybyszewskiego w «Synach ziemi» taki hrabia, co złapał swoją żonę na gorącym uczynku, wlaź na jakiś tam dyabelnie wysoki cypel skały, a woda się stamtąd szalenie lała — i obśliznęła się hrabiemu noga...

He, he, he, jaki to dowcipny ten hrabia — prawda?

A może rozumniej zrobił Grzegorz Świstała — bo chwycił za kłonicę i gwizdnął wleb Magdę, niby swoją rozpustną żonę, tak, że mózg obryzgał ściany komory...

Przykucnięty za skrzynią Walek widział, jak się krew z rozbitego czerepu lała...

Walek myślał, że też dostanie kłonicą.

Ale gospodarz nawet nie spojrział na niego.

---



---

Kiedy zaczęli Świstałę w Wilnie sądzić, to stał i stał, a na sędziów przysięgłych patrzył. I Świstałę uniewinnili.

Swistała lunął kłonicą, tak z prawa na lewo, od siebie, a przytem chwyciła go za kudliska złość... bo jakże, przed obrazami w kościele pojał Magdę... miała być wierna... cudzołożnica! suka! nałożnica!

Mazur bił z góry w dół—gołą pięścią.

Lunął też raz... tylko raz... niby tak, jak odpędza się po raz trzeci natrętą osę... Ani myślał, aby głowa Jaśnie Pani była taka miękka.

Ale nie żałuje—ani trochę.

Suka była i już.





## Te kobiety.

**M**ędracy świata rozpoczęli gwałtowny spór. Jedni dowodzili, że „te kobiety“ mają serce... drudzy zaś, że „te kobiety“ nie mają serca.

Po pewnym czasie spór przeszedł na łamy gazet, zacietrzewiła się jedna i druga strona.

Zaraz wytworzyły się dwa olbrzymie obozy nieprzyjacielskie, wytoczono straszne kolumny, zaostrzono piki, do luf karabinowych nasypało się kilka garści kul bum-bum, i do siebie...

Wielkim głosem zaśmiał się pan Lucyfer, tego zatarł ręce, ogonem machnął.

— A to mi się udało,—mruknął.





— Wasza wielmożność co rozkaże? spytał prawa ręka Lucyfera.

Pan otchłani zamyślił się — podniósł nogę i końskim kopytem potarł się po czole.

— Idź na świat słońca i powiedz tym, co się kłóca o moje ukochane córy, że są durnie...

Ciekawe jednak, czy te kobiety mają serce?..

Serce — — —

Zapewne posiadają serce, wszak i kogut ma serce — — — a przecież na śmietniku jest wielkim...

Z prawa natury, czy może przez oszczędność gospodyń, ten biedny kogucina posiada po dwadzieścia i więcej towarzyszek...

A on jeden.

On jeden dumny swym czerwonym kapturem na kształtnym łebku.

Kobieta i kogut... śmieszne, prawda?

A jednak, to są pokrewne sobie istoty.

Kogut nie znosi oporu, jest despotycznym i rozpustnym... i bardzo często wybrednym.

Tak, tak.

Każdy może tę indywidualność spostrzedz, jeżeli będzie uważnie patrzył na śmietnik—królestwo kogucie.

Kobieta zaś, nawet nie z kategorii „tych kobiet“ posiada też same zalety: więc jest uparta, despotyczna, rozpustna — — — tylko niewybredna, bo:

„Kobietę puchu marny...  
 Przebóg tak ciebie omamiło złoto“.  
 Zatem, rubel jest kobiety celem.  
 Kto zatem kocha złoto, musi być niewy-  
 brednym.

Zamiłowanie do rubla, a niechęć do pracy.  
 Wytworzyły „te kobiety“.

Piękne i posłuszne córki szatana.

Cuchnące gnojowiska... dzięki którym świat  
 karleje — —

i podleje...

Ciekawe jednak, czy te kobiety mają serce?

Bardzo blizcy znawcy tych kobiet t. z. „alfonsi“  
 kategorycznie mówią o wielkiej miłości  
 tych kobiet.

W październiku, w Warszawie na Królew-  
 skiej, policja aresztowała „alfonsa“, kiedy go  
 prowadzono do cyrkułu, wpadła jak furja na  
 policyantów „ona“. Zanim się obejrzano: jeden  
 policyant stał bezradnie i garściami obcierał ob-  
 ficie ciekącą krew z ohydnie pooranej twarzy,  
 drugi zaś wył strasznym głosem i cisnął czap-  
 ką buchającą fontannę krwi z odgryzionego nosa.  
 Najparadniej i najkomiczniej wyglądał trzeci;  
 ten usiadł pod murem i trzymając się za brzuch  
 co chwila podlegał męczącemu atakowi wymio-  
 tów, w przerwach zaś, mętnymi oczyma wo-

Wł. Gulowski Dusze Wyrotu.

(4)

dził po zebranych i zadowolonych gapiach i wycharkiwał z siebie coś nakształt tych słów:

-- Wściekła się psiakrew, żeby tak kopać.

Znane są również zacięte walki staczane pomiędzy sobą o alfonsów. Jeden z doktorów petersburskich opowiadał w gronie kolegów, że jakoby dostawiano szermierki z poobgryzanymi uszami, nosami, wyłupionymi oczami, powykręcanymi i porozrywanymi rękoma.

Podobno walki tych kobiet przechodzą najbujniejszą wyobraźnię; wszelka broń jest dobra najczęściej jednak zęby i paznokcie najbardziej pracują, a ślady są niezwykle bolesne i ciężkie do zagojenia (niejeden mąż wie o tem z praktyki).

Zachodzi zatem pytanie; czy te kobiety walczą z miłości, czy też jako samice, czy ostatecznie o silne ramię mężczyzny, jako opiekuna, w chwilach niebezpieczeństwa.

Ale wyjdźmy na ulicę, królestwo tych kobiet.

Ulica szeroka, widna, ogromne banie mleczne zawieszane na łukowatych ramionach rzucają masę światła na chodniki.

Sklepy o olbrzymich kryształowych szybach kokietują licznych przechodni przepychem okazowym.

Na chodnikach ruch wielkiego miasta.

Idą bogato poubierane panie, przy nich skromnie, wążkami kroczkami, córuchny. Panowie



w cylindrach i z laskami suto oblepionemi w złote i srebrne monogramy.

Idą i te panie — —

Kapelusze kubły, na kubłach całe koguty „szanteklery“, laseczki zielone lub czerwone w paluszkach...

A miny, a spojrzenia!...

Te panie „żerują“.

Właśnie idzie elegancki jegomość.

Jedna, ta, z przepięknemi rudemi cudnie ułożonemi włosami, robi z miejsca „oko“.—

Minęli się — —

Piękna dama wykonywa zręczny wzrot w tył.

Obserwuje teraz faceta z tyłu.

Niezapomina jednak i tych wymijających.

Ten jednak zdaje się jest zamożniejszym.

Zręcznym i bardzo dystygowanym ruchem lewej ręki ujmuje suknię...

Obejrzała czy dobrze.

Przyśpiesza kroku — — mija faceta — i znowu robi „oko“.

Teraz prezentuje się facetowi z tyłu.

Jegomość podziwia szlachetne ułożenie głowy na łabędziej szyjce.



Bije w jego powonienie zapach modnych, odurzających i pobudzających perfum.

Widzi ramiona równe, okrągłe, elastyczne, rozkoszne.

Wodzi oczyma jeszcze i jeszcze.

Biodra, trochę wydatne, pulchne, a pewne i mocne.

Jeszcze niżej—jeszcze niżej — —

Koronki, a jakie piękne, cały pęk, falujący pęk, przewalają się z jednej strony na drugą, jak gdyby piękne wachlarze za którymi kryje się coś, coś... pobudzającego zmysły...

A nóżia—tycia — — o! tycia!

Samiec pociągnął nozdrzami.

Już poprawia binokle... zapala papierosa, do lewej ręki przerzuca laskę.

Idzie pędzej — — mija — —

Dama widzi, czuje instykttem wyuczonej samicy, że faceta zainteresowała, więc daje znowu „oko“.

Jest ono teraz skromne, ale mocno zachęcające...

— Chodź, bierz—patrz jakim piękna,—mówi całe jej ciało, rozkosznie, zmysłowo wyginając się.

Samiec znowu pociągnął nosem.

— Pozwoli pa-n-n-i-i, szepcze dyskretnie, w oddaleniu dwu łokciowym.

Dama skromnie spuszcza śliczne oczy.

— Proszę — —

Zaczyna się rozmowa—banalna, na razie.  
Pierwszy akt „żerowania“ skończony.

---



---

A co! Aha! pewno, że te kobiety mają serce.  
Pan Pietrek, jako to chłopisko nie gapa  
i nie w ciemną bity, pilnie śledzi walkę oby-  
dwóch obozów.

Bardzo pilnie wyczytuje artykuły twierdzące,  
że ta kobieta ma serce, jak również i te, gdzie  
krzyczą, że ta kobieta nie ma serca!

Głośno śmieje się z obydwóch, a tajemnie  
zgadza się, że ta kobieta ma serce.

Chodzi więc i szuka serca.

Wczoraj wziął ich aż trzy do gabinetu.

Patrzy, bada, i czeka...

Kobiety jedzą i piją.

Są w drugim akcie „żerowania“.

Ostatecznie koniak, porter i sama atmosfera  
gabinetu — knajpiarska działa na zmysły, na  
chuci.

Wstała Janka—oczy błyszczą... ciało drży  
febrycznym dreszczem.

Staje na środku gabinetu, — zachęcająco  
ujmuje palcami przednią szesć sukni— — robi  
dyg, później drugi—bachancko przegina się— --

Pokazuje kik-woka—

Zwolna rozwydrza się — — jeszcze chwila.

Staje się plugawą.



— Br... brr.,—szepcze Pietrek, ta nie posiada serca.

Cesia zaczyna bredzić. Ohydnie śmieje się z Janki... parodjuje jej ruchy... Wyrzuca z pięknych i młodych ust potwornie cyniczne słowa, od których drżą ściany gabinetu, a nawet wiszący na ścianie «lanszaft» z tańcem bachantek, kurczy się i maleje, jakby się wstydził; — —

Pan Pietrek kawałami waty zatkał uszy, rękoma zasłonił oczy.

Przeraził się, — — zamarzył i siedział.

— To, to, to ci panie, — szeptał, wstrętne wykrzywionymi ustami.



Mańka jako najstarsza i praktyczna siedzi jeszcze spokojnie.

Ciągnie resztki koniaku, przegryza winogronami.

Ale i na nią przyszedł czas.

Staneła przy lustrze, przypudrowała twarz, następnie włosy, zapałką podczerniła brwi.

Teraz kokietuje

Pietrka, raz za razem puszcza cyniczne wiele mówiące „oko“.

Pietrek zamarznięty, bryła ze śniegu, czy kloc lodu.

Mańka łasi się: białą dłonią głaszcze Pietrka po twarzy.

Siadła mu na kolanach, głowę położyła na szerokich męzkich piersiach.

Śpiewa.

I płynie rozpasana pieśń—podła, wstrętna w słowach, nikiemna w czynach.

Pan Pietrek zna ją—zna... słyszał, kiedyś śpiewały ją chórem tam — —

Tam — —

Gdzie jest ich dużo — — tych kobiet.

Pietrek wzdrygnął się, otworzył szeroko oczy. Odmarzył.

— Mańka, Mańka! Toś i ty taka! prosił.

— Kogut! głupi kogut, — krzyknęła Janka.

Pan Pietrek się zachnął.

— Ależ głupstwo... no tak... Ależ nie o tem mówię...

Jeszcze bardziej otworzył oczy, nawet dłonią przetarł czoło—z potu.

— Co kogut? gdzie kogut? pyta głupio się śmiejąc.

— Kogut, a my kury...—pisnęły w szale.

— A jam myślał... he, he, że wy kurki—no, kurki, macie serca.

Teraz był już zupełnie przytomny...

Zaczął myśleć, rozważać, a potem spojrzął im w oczy i rzekł twardo.

— Szukałem u was serca.

— Co serce—rubel to serce, durniu jeden! wrzasnęła Mańka.

Teraz zaczęły śpiewać.

Koguciku! Koguciku! nasz, nasz,  
noc się zbliża, noc się zbliża

Chodź pójdziemy w las!

Chwyciły się za ręce i ohydnie, plugawie, ordynarnie, zaczęły podrygiwać a chichotać.

Ostatecznie pan Pietrek zrozumiał, gdzie serce sięgnął do kieszeni, wyjął nabity banknotami pugilares, wyjął dwadzieścia pięć rubli, położył na stół, wziął laskę, cylinder i wyszedł.

Na ulicy wiatr zimnicą wiał, Pietrek i ostatek kłębował u paltota.

— Chyba, że te kobiety nie mają serca, myślał w głębi swego mózgu.

Minał kilka ulic... Od „tych kobiet“ ulica była pełna Pietrek pilnie je obserwował.

Po dłuższej obserwacji, ręce wpakował w kieszenie, głowę wtłoczył w ramiona, skurczył się, jakby pod naporem jakiejś siły.

Myślał.

— A może, ten włoski myśliciel Lombrozo miał rację, twierdząc, że „kobieta rodzi się prostytutką“.







## M ę t y.

### I.

— Nie, nikomu. Nikt nie odważył się pytać, a gdy nawet pytano, widziałam, że z braku tematu do rozmowy, lub z głupiej udanej li-tości, jaką niby okazuje prawie każdy mężczyzna dla takiej, jak ja kobiety. Wtedy zbywałam pierwszym lepszym słowem przyniesonym przez ślinę...

Aha, jednak pan ciekawy, jak mój berbeć musiał umrzeć.. Powiem. Dla czegożby nie... Tak, tak. Jeszcze nie było go na świecie... W długich i ciemnych i okropnych tych miesiącach, później tygodniach i dniach myśl pracowała... Aż jednego wieczora strzeliło mi przez zmęczony mózg: — „Ludzie umierają z głodu — a to co się urodzi ze mnie, takż może umrzeć z głodu“... Tej myśli chwyciłam się i już trzymałam ją w sercu, w mózgu, a nawet w każdym moim nerwie... Czy uwierzy pan? — — śniłam po nocach, że moje małeństwo straciło apetyt

i z głodu umiera. Wylewałam łzy nad niedolą maleństwa—i z głośnym płaczem budziłam się.

Dwa tygodnie. W pierwszych dniach przychodziła akuszerka. Pokarmu miałam dużo. Chłopak był zdrowy, tłusty, wyglądał jak rydz. Postanowienie swoje odkładałam. . bałam się jeszcze.

Tak, tak z dnia na dzień. W końcu przyrzekłam sobie od jutra. Czy pan uwierzy? nawet przysięgłam przed obrazem..

Pierwszy ten dzień głodowy krzyczał. Ech, co to znaczy krzyczał. Po prostu darł się całą siłą swego gardziółka i swych wypukłych piersi. Wrzeszczał, jakby go ze skóry obdzierano.— Pokrzyyczysz i przestaniesz, myślałam, patrząc prawie że z obrzydzeniem na wykrzywioną, czerwoną twarzyczkę mego krzykacza.

Nadeszła noc. Do dwunastej patrzyłam na zegarek—spiał.

W ubraniu przykucnęłam na łóżku. O drugiej zaczął kwilić. Potem znowu rozkrzyczał się na dobre.

Po godzinie ochrypl. . w końcu i to ustało. Sądziłam, że już umarł. Patrząc do koszyka, (w koszyku go trzymałam) leży, ale cały siny, tylko oczki mu błyszczą, jak dwa węgielki... Mimo woli zaczęłam płakać i jakiś tajemny a mocny ból chwycił mię za serce.. Chciałam już odwiązać zbolące i nabrane piersi, i niech się

naje... przecież to mleko jest jego, on stworzył... z jego narodzeniem przyszedł pokarm... Jednak, po chwili, rozsądek nad dobrem sercem wziął górę... Albo tobie, albo mnie śmierć... myślałam, gryząc wargi. Już teraz bachor umrzeć musiał... Niech się pan nie dziwi, miałam lat osiemnaście. Byłam ładna, zdrowa...

Proszę sobie wyobrazić cztery dni i noce wytrzymał.

A, no, dobrze, — więc pierwszy dzień głodowy krzyczał okropnie, ale to okropnie, drugi dzień skomlał zupełnie, jak szczenię, kiedy go wyniosą z ciepłego matczynego legowiska na śnieg... Trzeciego dnia stękał, pojękiwał, jak bardzo, bardzo chory człowiek. . Czwartego dnia... już od samego rana zbudziło mnie rzeżenie... tak, tak, to on tak strasznie grał... Czułam, wiedziałam, że to są ostatnie chwile. Nakryłam sobie głowę poduszką, jeszcze słyszę. Wstałam, sięgnęłam ze szufladki waty, napakowałam pełne uszy i znowu otuliłam głowę poduszką...

Słyszę, słyszę, a nawet zdaje mi się, że cały dom może usłyszeć i, i, mogą go uratować.

W pół godziny byłam już na ulicy. Zacheiało mi się koniecznie wódki. Chciałam się oszołomić... Nakupiłam jedzenia i wódki. . Mając już cały ten багаż, bałam się z niem wracać do swego mieszkania.



Byłam pewna, że bachor nareszcie nie żyje, a mnie zaś chciało się bardzo jeść. Za wszelką cenę chciałam w tej chwili zapomnieć o umierającym mym dziecku. Uśmiecha się pan. Wszak byłam jego matką, czułam to po własnych pierśsiach, do których najmniejsze dotknięcie przyprawiało szalony ból. Byłam jeszcze bardzo osłabiona po przebytych porodzie, nogi mi się trzęsły, w uszach szumiało... Wtej chwili czułam niczem nieprzewyciężony głód, myślałam więc, gdzieby iść, aby się dobrze najęść... Szczęściem spostrzegłam znajomego.—Gdzie pan idziesz?—pytam.

— Do pracy, odpowiada.—A to wielka szkoda, mówię... Gadu, gadu i w pół godziny znalazłam się w jego kawalerskim pokoju. Picie, jedzenie, a potem najnikczemniejsza rozpusta trwała do czwartej po południu.

Kiedy znalazłam się na ulicy, w głowie szumiała jeszcze wódka, całe ciało przebiegały jakieś nieuchwytnie spazmy czy dreszcze. Byłam tak słaba, że, aby dojść do dorożki, musiałam użyć całej silnej woli, odpokutowanej zawrotem głowy, już w dorożce

O dziecku przypominałam sobie dopiero, kiedy kluczem otwierałam zamek

Wchodzę. Nasłuchuję. Cicho. — Kaput mój wróbelek, myślę sobie. Teraz sprawię ci uczciwy pogrzeb: zawinę w pieluszki, następnie w

gazetę, owinę naokoło sznurkiem. Zrobię oto taki pakunek... Jak ściemni się, pod pelcrynę, pod pachę, na schody, na ulicę, a później do jakiegoś pustego domu... w bramę, w podwórze, a jeszcze później, bęc do dołu — — —

Kiedy zdejmowałam kapelusz, ręce mi drżały i wzrok leciał do koszyka.

Wtem, wtem, zakwilił słaby, ciemniutki głosik. Podbiegam... Leży na wznak. Oczki zasunięte mgłą.

Buziuchna bladziutka, jak kreda, cała otoczona gęstymi kroplami tłustego potu. Lekko, niedostrzegalnie dyszy... czasami zakwili.

Nie czułam litości. Przeciwnie wpadłam w złość.

Latałam po pokoju, jak szalona. Darłam włosy. Gryzłam własne palce... W końcu nachyliłam się znowu nad koszykiem... Jeszcze dyszy... Gardziołko się wzdyma, to zapada... Machinalnie wyciągnęłam dwa palce, i tam gdzie się zapadało i wzdymało — ścisnęłam.

A może nie opowiadać? Co? Zbladł pan bardzo... To już... Nie chce pan. Dobrze.

Skazali mię na trzy lata więzienia.

## II.

Pan sądzi, że zwyrodnienie dziedziczne. Bron Boże! Ojciec mój był najpocziwszym w świecie człowiekiem. Wódki, wódki nie pijał wcale.

Matka, ta święta, czcigodna kobieta... Myślała wiecznie o naszych żołądkach, strojach i szkołach. Wszak wychowanie otrzymałam bardzo staranne. Władam językiem francuzkim.

Znam muzykę, a nawet na fortepianie gram wcale dobrze.

Wie pan, ja sama nie wiem, co to jest... Wszak w mojem awanturniczem życiu było rozmaicie, przeważnie jednak dobrze. Byłam zawsze ładna, wesoła, bardzo interesująca. Miałam powodzenie. Nawet i dziś jeszcze... wszak pan sam... znamy się od roku, i co jakieś kilka miesięcy wraca pan na kilka godzin. Na rozmowę. Wszak nie przeczę, że na pogawędkę. Pan należysz do innej kategorii samców... tamci, przeważnie to bydlęta,... pijani, brutalni, przychodzą z brudnymi rękoma i niewyszlifowanymi paznogciami... Płacą za ciało i żądają ciała... wstrętni kabotyni, brzydzą się nimi, a oddają się... Jednak nie zawsze, nie... Nastaje czas, że jestem wybredną. Żądam wtedy nie tylko złota. Wszak... proszę nie uśmiechać się ironicznie... kiedyś, jeżeli pójdę do spowiedzi, nie będę tak prawdomówną i serdeczną, jak dziś dla pana. Dla pana mam szacunek. Po zatym, pan jesteś literatem, czytałam pańskie utwory... jest w nich dużo serca... może się moja historia przyda. Jednak podobnych do mnie jest wiele, bardzo wiele.



Wszak moje ręce. Prawda, ładne, czyste, a po dwakroć umazane zbrodnią. Mężczyzna nie pyta się o przeszłość takiej jak ja kobiety. Płaci i bierze. Tuli do gołej piersi. Całuje te ręce, które jeszcze wczoraj babrały się w zbrodni. Całuje usta, całowane jeszcze przed godziną przez zaślinionego starca, cuchnącego alkoholika, lub skończonego łotra — bo ten łotr też zapłacił...

Zupełnie zgadzam się z panem. Niepowinna.

Bardzo dobrze, tylko proszę nie zapomnieć, że ja w danej chwili jestem towarem, a wszak każdy kupujący, jako posiadacz monety, ma prawo być wybrednym.

Ma pan znowu rację. Ja również sprzeczek nie lubię. Zatym, skończyłam na więzieniu. Tak, trzyletni pobyt w czterech ścianach z podobnymi do mnie, kubek w kubek towarzyszkami, a nawet często zdarzały się o sto procent gorsze: bo wytrawne zbrodniarki, rozwydrzone ładacz-nice, stare wyuzdane hetery... brud straszny, wstrętny, cuchnący jak dół kloaczny...

Otóż trzyletni pobyt w takim towarzystwie wypaproszył ze mnie resztę ludzkości. Zapomniałam płakać i wierzyć... Stałam się tylko żyjącym kamieniem.

Opuściłam mury więzienne w Charkowie.

Rodzicielski dom, gdzieś tam w Radomskim, przestał dla mnie istnieć. Jeść mi się chciało.

Ubrana byłam nędznie. Byłam jednak zdrowa, i skończyłam przed trzema dniami dwadzieścia jeden rok.

Prawda? byłam pełnoletnią.

Nadchodził wieczór, a żołądek coraz mocniej dopominał się należnego haraczu. Musiałam się sprzedać. Był to jakiś kupczyk. Nędzna kreatura, a jednak pamiętny, bo pierwszy w moim, na nowo rozpoczynającym się życiu...

### III.



W trzy miesiące byłam już panią całą gębą. W Petersburgu jeździłam po Newskim na gumach. Trzęsłam oficerstwem, jak wiatr gruszką.

Przewalało się to przez moje salony, jak obrazy w kimenatografie, i jak obrazy zmieniałam, wyrzucałam. Bardziej opornych samców biłam po prostu po pyskach (ten sport niezwykle jeszcze dziś lubię). Pamiętam jednego młodzieńca. Miljonera syn. Złotem i brylantami mię obsypał. Chciał bym była tylko jego... Kiedy jednego wieczora zastał mnie sam na sam z gwardzistą, to zapłakał jak dziecko, i za to dostał po pysku, wycalował mi ręce... a w dziesięć minut potem w bramie kulę wpakował sobie w skroń.

Stałam się bohaterką kilku dni. Na ulicy mamusie pokazywały mnie córusiom.

W kilka tygodni wyprałam buzię jednemu, ot tak dla rozrywki, i wpadłam. Tuzem był. Poruszył wszystko i wszystkich i musiałam wyjechać.

W ciągu następnych czterech lat zwiedziłam całą Rosję. Raz byłam w brylantach, drugi raz prawie że w łachmanach. Dla czego? Niech się pan nie śmieje. Naturę taką mam.

Pierwszego lepszego dnia podoba mi się jakiś włóczęga, czy łotr z pod ciemnej gwiazdy... Przytulę, karmię, ubieram. Nikogo wtedy znać nie chcę i w ciągu kilku tygodni pani nędza czarne zęby wyszczerza i szydzi mi. Biorę się znowu do zwykłej pracy. Ukochanego gagatka wypędzam na cztery wiatry.

Wł. Gutowski Dusze Wywrotu.

(5)



Te kilkotygodniowe ucziwe i bardzo przykła-  
dne życie nadaje mi nowych sił.

Jestem spragniona wrażeń... Nowych sam-  
ców i upojeń. I rzucam się w nie, nurzam,  
tarzam, śpiewam, gram, piję... Nie wiem, co  
noc, co dzień... Aż przychodzi nowy szal. Jakiś  
dziwny, nieodgadniony, rozkoszny, a wstrętny  
szal...

W tym szale zapominam kim jestem, i czym  
jestem. Pędzę, pędzę, gdzieś na złamanie karku...  
Upijam się do utraty przytomności. Padam w  
pierwszy lepszy rynsztok, nurzam się w błocie.  
Staczam walki z policjantami... Każdy włóczęga,  
oberwus, bosonogi, cuchnący nędrzarz jest mi  
wtedy kochankiem. Oddaję mu swe ciało z taką  
rozkoszą i smakiem, jak nigdy w dniach przy-  
tomnych najbardziej sympatycznemu mężczyz-  
nie. Dochodzę do takiego rozpasania i upodlenia,  
że ci sami włóczędzy, szydząc, plują mi w twarz,  
na co ja się uśmiecham... Nie, proszę pana, to  
jest silniejsze, aniżeli moja wola. Nie często.  
Tak perjodycznie. Taki stan trwa tydzień, cza-  
sami dłużej... Razu jednego, właśnie podczas  
takiego zupełnego zaniku woli i rozsądku, do-  
stałam tej strasznej choroby.

W kilka dni ktoś mnie denuncjował. Policja,  
Szpital. Książka. Najbardziej przygnębiła mię  
owa książeczka... Ten patent przypominający,  
czem jestem...

Po wyjściu ze szpitala odesłano mnie do lupanaru... I od tego dnia zaczęła się kilkoletnia katorga mego życia. Zaciągniętego długu przy wstąpieniu do domu tego nigdy nie można zapłacić. Szamoczesz się, rzucasz, napróżno... Wloką się za każdą z tych kobiet ohydne ogniwa łańcuchów, gnębią myśl, trawią duszę, i życie staje się czemś wstrętnem, czemś podłym, plugawem...

#### IV.

Po dwóch latach tego straszliwego życia, gdzie dzień zamienia się w noc, — noc zaś w dzień szelmowsko-plugawy, w którym rozpamiętanie, pijaństwo, najokropniejsza rozpusta, poniewierka, podłość i podłość nie mają granic... uciekłam. Dziwi się pan, że nawet ja nie mogłam w tym domu wytrzymać?... Wszak można być skończonym łotrem, a na dnie duszy coś, jakiś osad czy męt leży, i czasami nurtuje i napędza do czegoś innego...

Myśl ucieczki zatliła się we mnie już w kilka miesięcy, to jest od dnia pierwszej rozprawy z Genią. Genia to proszę pana oryginalna istota. Pół zwierzę, pół człowiek.

Głowę miała wielką, nieforemną, podługowatą, przypominającą żydowskiego zabiedzzonego konia. Łopatki wystające, szerokie, kościste i mocne. Ręce nadzwyczaj długie i cienkie i ży-

laste. Nazywałyśmy ją gorylem a bałyśmy się jej wszystkie, jak dzumy. Zajmowała miejsce gospodyni, sędziego i kata. Wszelkie nieporozumienia ona sądziła i ona wymierzała karę. Siłę posiadała wielką. Kiedy uderzyła w twarz, krew buchała nosem, w uszach dzwoniło, a tysiące światełek migało w oczach. Bicie po twarzy uważała jako karę na prędką rękę — z miejsca. Za przewinienia większe kara była większa. Przychodziła wtedy do gabinetu. Drzwi na klucz. Każde uderzenie jej gumowej pletni, obszytej sukmem, aby nie zostawiać siniaków, było okropnie bolące.

Tam się proszę pana nie pytają. Biją. Katuszą. Poskarżyć się, a komu? Przywiążą. Zamkną. Zapewne, że nie bez ale. Ze mną było tak. Razu jednego przyszedł gość. Wysoki, szczupły, siwy. Był to podobno jakiś pedagog i zarazem autor bardzo moralnych przewodników dla kobiet. Upodobał sobie mnie .. Pił bez wytchnienia. Musiałam mu dotrzymywać placu. Później poszliśmy do sypialni. Kiedy rozebrał się, był ohydny w postępowaniu jako człowiek, tak ohydny, że jeszcze dziś dreszcz obrzydzenia mną wstrząsa. To, czego żądał, aby z nim robić no i co sam robił, przechodziło nawet moje pojęcie. Pozatem i ciało miał wstrętne. Całe piersi, nogi i ręce oblepione krostami. Niektóre z białymi główkami świeciły jak kocie oczy wśród gęsto



obrośniętego ciała. Śmierdziało mu z ust. Nos miejscami gnił, brakujące wręby skrzętnie zaplepał woskiem i posypywał gęsto francuzkiem pudrem, wyjmowanym co jakiś czas z kieszeni kamizelki. Byłam kompletnie pijana. Za całą noc zapłacił z góry. Trzy ruble dał mi na kawę. Byłam mu posłuszną..

Po dziesięciu może dniach przyszedł znowu.

Przysiadł się do mnie Nie chciałam. Wszelkie namowy gospodyni a nawet Geni nie przekonały mnie. Poszłam do swego pokoju, zamknęłam się na klucz i tego wieczora już nie wyszłam na salę. Bałam się. Podobny postępek karano biciem, a w drodze łaski głodem.

Upłynęły dwa dni spokojnie, nawet Genia była uprzejma.

Sądziłam, że mi się upiekło. Nie robiono mi wymówek. Aż trzeciego dnia zrana wchodzi Genia.

Byłam jeszcze w łóżku. Podchodzi.

— Z tobą, widzisz, jeszcze są nieskończone porachunki,—cedzi przez zęby. Struchlałam.

Zaczęła bić pletnią... ból był okropny, straszny. Tak straszny, że do krwi pogryzłam własne ręce... Po tej rozprawie trzy dni drżałam — —

Trzy tygodnie ciało bolało. Sama Genia, tego samego dnia pod wieczór natarła mnie gorącym spirytusem. Podczas nacierania tłomaczyła.— „Żaden opór nie przyda się na nic. Kto się ja-

kiejś pracy podjął, musi ją wykonać. Taka już na świecie dola ludzka...

Bóg widzi, biłam cię lekko. Nieposłuszeństwo zawsze się karze cieleśnie. Ale ty się poprawisz, ja wiem, ty jesteś dobra dziewczyna. Ciebie zbuntowała Elza. Ona dostała mocniej, ona zdrowsza i spasiona jak niemiecka świnia“... Tak proszę pana, był to straszny sen w mym życiu. Ślady pozostawił wielkie.

## V.

O tem, jak ukrywałam się w pierwszych dniach ucieczki przed policją, mówić panu nie będę. Każdy to zna, gdy był w takim położeniu. Nie miałam pieniędzy, paszportu, a nawet moją książeczkę pozostawiłam. Wiedziałam, że zostać w tym mieście niebezpiecznie. Zarobiłam jakieś kilka rubli i jazda. Lecz los już prześladować mnie zaczął na dobre. Po kilku dniach aresztowano mnie na noclegu u studenta. Przyszła oto rewizja, znaleźli, paszportu nie miałam. Teraz wysiedziałam całe pół roku. Na razie bałam się mówić własne nazwisko i kim jestem. Po kilku jednak miesiącach wyśpiewałam wszystko.

W krótkim czasie wysłano mnie etapem do miejsca rodzinnego. Zobaczyłam ojca, matkę.

Kochane matczysko... Co ona wycierpiała, co łez wylała—w pierwszych dniach mego pobytu.

Po kilku tygodniach znowu rzuciłam się w świat.

Zapłakana matka, milczący ojciec, hałaśliwi bracia i siostry, wszystko to obrzydło mi. Leżało ciężkim kamieniem na mych piersiach. Ten kamień dusił mię dniem i nocą i musiałam iść w świat.

Jak raz nadarzył się jakiś oficerek, którego tranzlokowano do Odesy. Machnęłam z nim.

## VI.

Minęło trzy lata. Interesa stały dobrze.

Zaczęłam na nowo uprawać mój ulubiony sport—bicie po męzkich pyskach. Zapomniałam o przeszłości. Wywietrzało z głowy wszystko, czasami tylko Genia przychodziła mi przed oczy. Wtedy wzdrygałam się, zaciskałam pięści i myślą goniłam nienawistnego mi kata—kobietę...

Gdyby to był mężczyzna, nie bym sobie z tego nie robiła. Zawsze szukałam, tęskniłam za mężczyzną, któryby mi imponował.

Wieleż to razy drażnię i drażniłam się z mężczyznami w celu pobudzenia ich do czynnej rozprawy ze mną. Przychodzą chwilę, że prosto chcę, aby moje ciało bił mężczyzna, to coś silniejszego, ten samiec, ten niby król co rządzi światem, co stacza zabójcze między sobą walki. Mnie się zdaje, że podobne chęci czy pragnienia idą z naturalnego popędu, prosto



wymaga tego prawo natury, prawo korzenia się przed siłą wyższą.

No, widzi pan i znowu odbiegłam od właściwego toru opowiadania. A więc, jeżeli już tak pan prosi, to opowiem jeszcze jedną historję z mego życia. Będzie w tem trochę tej zagadkowej psychologii kobiecej, za którą pan tak goni.

Bardzo często marzyłam o tym dniu, kiedy to zaczęę prowadzić życie uczciwe, lub też jakiś rok czy dwa, a nawet do samej śmierci, złączę się z jednym człowiekiem.

Jeżeli, myślałam, ten czas nastąpi, pójdę zaraz do spowiedzi, codziennie chodzić będę do kościoła, zapiszę się do różańca lub jakiegoś innego bractwa...

Imaginacja pracowała. Widziałam się już na ulicy, pod rękę z jakimś ładnym i niemłodym mężczyzną. Byłam bardzo z tego dumna. Wchodziliśmy razem do kościoła, jak małżeństwo, klękamy pobożnie, bijemy się w piersi na „Baranku Bożym“. Wszyscy mnie szanują. Panowie już otwarcie kłaniają się bardzo grzecznie kapelusząmi. Na palcu mam bardzo grubą obrączkę. Gdy jestem w cukierni, w teatrze, trzymam tak rękę, aby obrączka była dobrze widziana. Mówię panu, marzyłam, jak jaka pensjonarka. Cieszyłam się tym przyszłym szczęściem—aż ono i nadeszło.

Pewnego dnia zjawił się na bruku elegancki, lat trzydziestu facet. Przystojny bardzo. Ułożony. W lśniącym cylindrze, kiedy przelatywał ulice pierwszorzędną dorożką, wszystkie kobiety posyłały za nim oczy. Raz, w teatrze, zwróciłam jego uwagę. W kilku dni już byłam jego stałą kochanką. Przedstawił mi się, jako fabrykant z Syberji. Zaraz wzięliśmy ładne mieszkanie, urządził je odpowiednio, elegancko. Otrzymałam to, o czem tak długo i słodko marzyłam.

Nosiłam na palcu grubą obrączkę. Spacerowaliśmy po ulicach. Bywaliśmy w teatrach, na koncertach, a nawet i w kościele. Najbardziej jednak zastanawiało mnie, dla czego nikt nigdy nie kłania się memu kochankowi.—Nikogo tutaj nie znam,—odpowiadał, śmiejąc się. Wyjeżdżał bardzo często i czasami nie było go po kilka tygodni. Zato, kiedy przyjechał, pieniędzy miał pełne kieszenie i rzucał niemi na wszystkie strony bez liczby. Mówił mi, że z urodzenia jest francuzem, gdyż i nazwisko miał podobne.

Jednak, po jakimś roku zaczęło mi się przykrzyć podobne życie. Myślałam znowu drapnąć gdzieś. Aż stało się coś nowego. Jednego wieczora mój pan przyniósł jakiś tajemniczy pakunek.

— Słuchaj, rzekł, dopomożesz mi, że się trochę odmienię, czasy są niespokojne, wicherzy się coś po państwie, trochę zamieszczęm się w

politykę i jestem śledzony... W pół godziny sama go nie poznałam. Charakteryzować umiał się znakomicie.

W kilkanaście dni potem przeprowadził ze mną mniej więcej taką rozmowę:

— Zgadnij, kim jestem?

— Dla mnie moim kochanym kochankiem.—

— Ale czem ja się zajmuję?—Fabrykę masz jakąś. Teraz ręce włożył do kieszeni i szybko zaczął chodzić po pokoju. Stał przedemną.

— Słuchaj, od kilku tygodni bardzo pilnie poszukuje mnie policja,—są na moim tropie... jeżeli złapią mnie, to zasadzą i ciebie do więzienia, ostrzegam cię i radzę byśmy się rozeszli.

Zamiast odpowiedzi wybałuszyłam na niego przerażone oczy, patrzyłam, a po chwili chwycił mnie spazmatyczny płacz.—Nie wypędzaj mnie od siebie, skomlałam, czepiając się jego kolan i całując go po rękach.

Zaczął mnie uspakajać, tłumaczyć a w końcu znowu mi rzucił.—Zmienisz swoje żądanie i słowo, gdy dowiesz się kim jestem—i nachylając się, wycedził mi przez zęby.—Oto... widzisz... jestem... złodziejem—doliniarzem.

— A jam prostytutka,—rzekłam, chwytając go za szyję. .

Czy pan uwierzysz, że od dnia tego pokochałam go do szaleństwa. Widziałam w nim bohatera... Jego opowiadań o czynach złodziej-



skich słuchałam zawsze z otwartymi ustami, w jakimś zachwyceniu...

Żyłam z nim dwa lata. O moją przeszłość nie pytał się nigdy, o swojej opowiadał szeroko. Siedział już kilka razy w więzieniu. W złodziejstwie był prawdziwym artystą... Siedzimy w teatrze. — Temu brzuchalowi wezmę dziś zegarek, szepcze mi do ucha, wskazując oczami. To, jak byłam pewna, że jutro będzie dzień, tak i dałabym głowę, że zegarek będzie nasz. Słowa dotrzymał zawsze. W ciągu tych szczęśliwych dwóch lat świata zwiedziliśmy kawał. Przerzucaliśmy się z miasta do miasta. W wagonach układaliśmy najpiękniejsze i najobfitsze plany okradania. Ja byłam jego wieścią, gdzie i kiedy ktoś może mieć pieniądze. Szedł, kradł tysiącami i tysiącami puszczałyśmy.

Było to w styczniu, przyjechaliśmy do wielkiego miasta. Dłuższy czas nie udawało się nic korzystniejszego. Sto rubli, lub dwieście nie szło w rachubę. Aż nareszcie, wciągnęłam jednego... Można było wziąć kilkanaście tysięcy i za te pieniądze obiecaliśmy sobie jechać na kilka miesięcy na Riwiery. Zrobił jedną nieostrożność i wsypał się.

Złapali. We dwie godziny po aresztowaniu jego, przyszedł do mnie jakiś jegomość. Suchy, zawiedły.

— Mam dla pani od Henryka list, rzekł su-

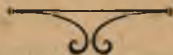
cho, — noszę go od półtora roku... Miałem go wręczyć w chwili, gdy Henryk zostanie aresztowany, proszę...

List był pożegnaniem, a zarazem rozkazem, prośbą, abym się przed policją nie przyznawała do żadnych z nim czynów—prócz, że byłam jego kochanką. „Mnie tem nie pomożesz, a sobie stanowczo zaszkodzisz“.

Tem listem doprowadził mnie prawie do szaleństwa. Włosy rwałam z rozpaczy. Głową ścianę biłam. Darłam na sobie ubranie. Myślałam, że oszaleję .. Tegoż dnia w nocy aresztowano i mnie. Znowu dostałam tajemnych kilka słów napisanych na talerzu „nic nie wiem“. Pytali, badali na rozmaite sposoby.

„Nic nie wiem“ — powtarzałam uparcie. W końcu wypuścili.

W czasie sprawy byłam na sali. Kiedy przeczytali wyrok skazujący go na cztery lata więzienia — wyjęłam rewolwer i strzeliłam sobie w serce... Widzi pan, kochałam. A był to skończony złodziej. Opryszek niebezpieczny... Po trzech miesiącach wyszłam ze szpitala i żyję—żyję!... A po co? pan wie, czy nie? Nie! Ech, ech No żegnaj pana, niech pan już idzie, późno jest. Dobranoc.





## Historja dwóch sere.

Tak było i tak będzie.



**P**an Olgierd Flak Kokota nosi lakiery amerykańskie. Spodnie w kłosz, marynarka w kłosz. Kołnierzyk dziesięć centymetrów wysokości. Włosy rozdziela z tyłu i zasłania niemi przednią łysinkę.

Twarzyczkę posiada niewielką, zapadniętą, a blade policzki nadają wyraz głodny... zato uszy wystające, wywinięte, jak u prawowitego żyda—sterczą, niby słuchy czuwającego zająca.

Pan Olgierd jest jeszcze właścicielem nosa. Ten nos jest cienki, długi, sterzący i wiecznie, do naprzykrzenia, na samym czubku czerwony.

Kiedy Kokota je, czy też rozmawia, a nawet myśli, wtedy nos odegrywa ważną rolę.



Pospolicie nazywa się taka rola „myszkowanie“, otóż i pan Kokota wtedy podobnym się staje do szelmy, lub do tego księgarczyka—subjekta, przezwanego przez ogół „Aniołem-stróżem“.

Gdyby nie ten przekłety nos, pan Olgierd byłby nawet porządnym człowiekiem.

Ale cóż?... na świecie każdy ma jakiegoś szelmowskiego „pecha“. Ten gruby, wypasiony brzuchacz, dwadzieścia jedną godzinę na dobę łupi w karty; tamten, z całą sumiennością wykształconego doktora medycyny, wysusza codziennie butelczynę koniaku; ów baryła, proboszcz świętej złotodojnej parafji, właściciel pięknych koni, gromadzi najrozmaitszej kategorii i konstrukcyi połamane zegarki, lub wyrudziałe z przodu spodnie wojskowych dygnitarzy, a pan Hilary, siedemdziesięcioletni właściciel książęcej żony i zarazem tutejszy Krezus, ma chorobę do starych gratów z drzewa czeczotkowego.

A pan Kokota ma nos i kocha się w pani Kalinowskiej.

### **Przybytek sprośnych wyziewów.**

Pani Kalinowska, przed chwilą wysuszyła dziesiątą butelczynę piwa. Kazała nakręcić trąbiasty gramofon.

„bo miłością technie,  
że tak kochasz mnie“

brzęczy, rzeży skołatany plagjator ludzkiej mowy.

„Kochasz mnie“  
podśpiewuje melancholijnie, kołysząc ociężałą głową „cioteczka“.

Kochasz nas!!!  
huczą podpiłe gardziele męzkie, z najbliższego stolika.

W pokoju przepełnionym gośćmi duszno od wyziewów przepalonych wnętrzości alkoholem.

Ostro-mdły dym z tanich cygar i papierosów wżera się w oczy.

Marnie tutaj i podle.

Pani Kalinowska zaczyna jedenastą butelczynę.

„Ańdziu, jeszcze troszeczkę  
Andziulu! Andziu“

rozpoczyna gramofon.

„A-n-d-z-i-u-l-u-u-u-“

pijackimi basami, przerywanemi czkawką, chuczą opijaczeni goście pani Kalinowskiej.

### **Serdeczna miłość.**

Godzina czwarta.

Pan Olgierd szybko chudemi palcami przebiera papiery. Niepewne spojrzenia rzuca na strony. Cienkim nosem pociąga, jest niezadowolony, więc «prycha».

Już jest dziesięć minut po czwartej. Urzęd-

nicy, a koledzy pana Olgierda, zaczynają się również niecierpliwić.

— Ten człowiek jest teraz nieskończenie nikiemnym,—warczy pan Olgierd, i coraz bardziej nieprzychylnie spojrzenia rzuca na zimno zamknięte drzwi pana dyrektora.

Upływa jeszcze długich pięć minut, po których westchnienie ulgi wrywa się z kilkunastu zapadniętych piersi...

Pan Olgierd melancholijnie zabębnił palcami po wyszarzanym zielonym suknie i rzucając okiem dookoła:

— Opuszczam to miejsce, zdmuchując pył z szat mych,—szepcze, zmierzając ku drzwiom

Ogromnemi susami sfrunął ze schodów.

— Pan dyrektor dziś coś długo majaczył, i pan na objad się opóźnił, — poufałe, dobrodusznie brzęczy przez zapijaczne gardło Wasil woźny, leniwie pomagając wciągnąć palto na chude i wystające łopatki pana Kokoty.

Pan Kokota nawet nie stara się odpowiedzieć. Za bardzo lekceważy sobie sługusa. Powolnemi ruchami palców zapina guziki, mruży oczy i jakby z patosem, przysłuchując się własnym słowom, deklamuje:

— I oto idę do mego pałacu, a pałac mój brudny — — —

— Brzydzę się, a kocham — —



Kończył, wciskając małą główkę w chude łopatki.

### Marna trójka.

W gronie zaufanych i życzliwych przyjaciół pani Kalinowska, o wpół do piątej, spożywa obiad. Pierwsze miejsce po gospodyni zajmuje pan Flak Kokota, zaraz, z prawej strony barczysty, z wylupiastymi rybiemi oczyma, nastroszonym rudym wąsem, pan Jan Szlagieris, ztwardziały a głupi litwomian, dalej dychawiczny ekspułkownik i jakaś mocno podszargana, z twarzą wylepioną, brwiami wyczernionymi, kuzynka Kalinowskiej, panna Klotylda.

Pani Kalinowska pije teraz tylko piwo. Pan Olgierd cienkimi pociągnięciami „Salcerską“.

Pan Jan, nieznacznie, złodziejskimi ruchami wychyla kielichy „z pikonem“, a zaś pułkownik, z miną wielkiego obrzydzenia przerywaną pijacką czkawką, „oczyszczoną“.

Na razie rozmowa nie klei się. Każdy na swój, sobie właściwy sposób, zajada i „łyka“. Czasami ktoś chrząknie, kichnie, pociągnie nosem, lub ochrypniętym głosem rozbitych i przepitych piersi ciężko zakaszle pułkownik.

Koniec obiadu. Wanda podaje czarną kawę.

— Co ciebie dziś za gardło trzyma?—tubalne zapytanie w stronę Kokoty.

Wł. Gutowski Dusze Wywrotu.

(6)

— Nic, Manieczko. To jest, no, zmęczony jeszcze jestem,—odpowiada, dmuchając nosem.

— Da-s, d-a-s, niby potakuje pułkownik, wstrętnie szczerząc dwa czarne zęby.

— Ty, widzę, coś masz... A może cię znowu jakaś cholera...

Pan Flak Kokota zaczyna coraz mocniej dmuchać nosem, nawet uszy wysoko postawił.

— Zapewniam cię... To jest... bądź spokojna Manieczko...

— Da-s, da-s,—pan Olgierd „maładczyzna“,—rozbitym basem huka pułkownik.

Pani Kalinowska piątą pustą butelkę chowa pod stolik. Udaje jednak zagniewaną.

— Co, wy,—mówi na pół szyderczo, na pół poważnie. Co, co, wy wszyscy durnie!.. Pułkownik stary dureń, Olgierd młody dureń...

Pan Kokota oczy podniósł, dmuchnął nie spokojnie nosem:

— Skulaś mnie czarem i jestem bezsilny,—myślał bardzo poważnie.

Pan Szlagieris tymczasem śmiał się idyotycznie, powtarzając zepsutą polszczyznę.

— Ot, co jest... Ej wy Polki... Ot, mi, i moja matka była Polaczka.

— I pomimo to, jesteś głupi, a pewno głupszy od swego ojca,—śmiała się Kalinowska.

Rybie ślepie Szlagierisa strzeliły małemi światełkami.

— Ja *tikus* <sup>1)</sup>, ale u mnie *ugnia* <sup>2)</sup> jest, rzekł jakby do siebie.

Kalinowska poczerwieniała.

— Ty, ty, *ponas lietivis* <sup>3)</sup> schowaj swój ogień dla siebie i dla swoich jednomyślących wołów, syknęła.

Nastało teraz przykre milczenie.

— Ciocia, ej ciocia, — naraz zahuczał ekspułkownik — na jutro dasz kołdunów, dasz?

Ulubiona potrawa zajęła wszystkich umysły i rozpędziła chmury nagromadzone. Pan Kokota patrzył teraz starannie, a nawet z lubością, na puciołowaty podbródek pani Kalinowskiej, patrzył na czerwone mięsiste usta, na śliczne, wielkie a tak dobre oczy, i czuł rozkoszny spazm ślizgający się po chudych własnych plecach.

— I była piękna, jak puchy śnieżne, i była wonną jak kielich lilji... a jest plugawa, jak...

Wzdrygnął się.

### Walka dobrego ze złem.

Pan Olgierd znowu obtarł gęste krople potu.

Spiczasty nos cały poczerwieniał, a sam czubek wyłamał się z powszedniości i teraz zakwitł na ciemno zielony kolor.

Bywa taka zmiana, gdy na Kokotę spadnie jakieś nieszczęście.

<sup>1)</sup> cichy. <sup>2)</sup> ogień. <sup>3)</sup> panie litewski.



— Olgierd, no Olgierd,—prosiła.

— Widzisz, tacy wy wszyscy... Jak psy...  
na ciebie liczyłam.

Kokota rękę opuścił.

— W turmie zgniję,—rzekł krótko.

— Ty wiesz, że cię kocham... Swoje uczciwe  
imię zaszargałam... dziś palcami mię wytykają..

Zaniosła się spazmatycznym płaczem.

— Manieczko, nie płacz,—prosił, całując ją  
po pulchnych palcach.

— Oddałam swoje ciało, i za co,—szlochała  
dalej.

— Uspokój się, droga moja.

— Taki pułkownik, taki Szlagieris, za nic  
mnie dzisiaj mają.. przez ciebie.. przez cie-  
bie,—chlipała jeszcze.

Kokota znowu pot otarł, nosem dmuchał,  
uszami strzygł.

— Zrobię — — w turmie zgniję, rzekł zno-  
wu, ale już słabiej.

Kalinowska spostrzegła wahanie. Zarzuciła  
mu rękę na szyję.

— Ani komu na myśl przyjdzie, że to ty.

A przytem, czy to mało ludzi podpisuje cu-  
dze weksle...

Odetchnęła.

— Widzisz, komorne za pół roku... Zima  
idzie... okrycia nie mam... Za mięso sto rubli

trzeba płacić... niewykupiony patent... jeżeli ty nie zrobisz *tego* — — umrzeć muszę.

Znowu rozplakała się spazmatycznie.

Kokota już postanowił i przypieczętował myślą:

— Miłość prowadzi do otchłani ciemnych.

### Godna ucztą godnych ludzi.

Pani Kalinowska jest w świetnym humorze.

Imieniny wyprawia sute. Gości huk.

Znajomi nasi w komplecie.

Flak Kokota w nowych kloszowych spodniach, w kołnierzyku tak wysokim, że nawet dolną szczękę przysłania. Pułkownik w mniej zapluty tym na piersiach mundurze... pan Szlagieris aż w tużurku.

Pani Kalinowska, przy dzisiejszej uroczystości, postanowiła upić siebie i swych gości. Zwaliła aż dziesięć butelek koniaku, słodkich i gorzkich wódek dwadzieścia butelek, a piwa i przekąsek bez miary.

I wszystko na darmo.

Goście piją, a całują szczodre i pulchne łapuchny solenizantki.

Komplementami darzą nawet Kokotę.

Kokota nadrabia miną, chce być poważnym.

W szarym kącie na lewo siedzi literat, a jakże, nawet głośny, w drodze wielkiej protekcji i łaski jego sławetny utwór pokazywany

był na scenie. Z tego jest dumny, więc ogromny haczykowany nos zadziera, małe oczka przy-mruża.

— A gdyby tak uciąć jakąś mówkę? proponuje sąsiad literata. Możeby tak pan?

Literat małeńkie oczka zmrużył, wielkim nosem pokręcił.

Nadszedł pułkownik.

— Nu, pan, czto wy, zagadajcie co dobrej gospodyni. Zgoda?

Chciał jeszcze coś dopowiedzieć, lecz pijacka czkawka mu przeszkodziła.

Ostatecznie pan literat zgodził się na palnięcie mówki.

Podszedł do ogólnego stołu, ujął szklanekę z piwem i chrząkając, to jękając się, zaczął mówić...

Po „sławnym“ literacie wziął się do gadania Potocki, człowiek wielkiego talentu, ale tak wielki pijak, że ażeby go upić z wiadra wódki nie zostałyby kropelka. Dziś jednak nie zapomniał jeszcze języka i komplementami po kobietach ciął, rączki obcałowywał, a nawet kiedy wpadł w rozczenie, to skraj sukni całował. Mówili ogólnie, że do pijaństwa doprowadziła go Kalinowska jeszcze przed sześcioma laty, będąc jego nałożnicą.

Po trzeźwemu kobietami gardził, szydził z nich i głośno mówił, że się nimi brzydzi,



zato po pijanemu na żądanie kobiety popełniły nawet zbrodnię.

Dla Kalinowskiej uczuwał pogardę. Nienawdził jej duszą i ciałem, a jednak od czasu do czasu odwiedzał jej restaurację.

Na liczne pytania i drwiny, dla czego przychodzi, kurczył ramiona i pół żartem—pół boleśnie odpowiadał.

— Zadała mi coś baba... a przytem jeszcze czekam.

Słowo „czekam“ wymawiał z naciskiem, a nawet z zawziętością.

Wiedzieli niektórzy, że słowo to odnosi się do Kalinowskiej, i jeżeli kiedyś dojdzie do porachunku między temi dwojga, to?... Potocki odpłaci i za trzyletnie więzienie, i za pijaństwo, i za nędzę, i za drwiny...

### **Wszystko idzie po staremu.**

U Kalinowskiej wszystko po staremu. Ci sami goście, ten sam ochrypnięty gramofon, ten sam dym z papierosów i cygar, ta sama orgja i pijaństwo.

Kalinowska suszy butelki i przyśpiewuje.

Pułkownik huczy rozbitemi piersiami.

Szlagieris pluje po podłodze i litewskie odezwane słowa rzuca na strony lub pod stół.

Pan Olgierd Flak Kokota zakochany dalej

i z tą miłością, stacza się coraz niżej, coraz bliżej—turmy, a może i stryczka.

### **Każda rzecz ma swój koniec.**

Coś w końcu stycznia, była godzina dwunasta w nocy, Potocki w jesiennym paltociku, trzymając ręce w kieszeniach, włókł się w stronę Śnipiszek.

— Z drogi pijanica!—huknął mu ktoś przy samym uchu.

— Aha! A co?—rzekł sennie, machinalnie usuwając się.

Lecz w tej chwili podniósł głowę i stanął.

W otoczeniu trzech policjantów ujrzał Kokotę.

Prędko przetarł oczy, głowę dźwignął jeszcze wyżej.

— Panie Olgierd a to co?—rzucił drwiąco.

Kokota nie odpowiedział, powlókł się dalej jak automat.

Potocki stał długo, myślał i patrzył, patrzył i myślał.

Nieodczuwał zimna.

Po dłuższym jednak czasie podniósł rękę do czoła i tarł, tarł...

— Kalinowska... jeszcze jedna ofiara... mruknął.

Potem podniósł pięść, jakby groził.

— Ej, ta Kalinowska,—i machnąwszy ręką  
zawrócił do miasta.

### Wiadomości z gazet.

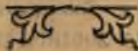
„Wczoraj aresztowała policja buchaltera Olgierda Flak Kokotę, sprytny ten ptaszek w ciągu trzech lat narobił masę malwersacyi. Straty firmy dosięgają dwudziestu tysięcy rubli“.

A w dziale wypadków:

„Aresztowany buchalter dzisiejszej nocy powiesił się na szelkach. Ciało odesłano do prosekatoryum“.

W trzy dni, znowu ta sama gazeta doniosła o następującej zbrodni i samobójstwie.

„Wczoraj, o godzinie pierwszej po północy, do restauracyi Kalinowskiej przyszedł stały bywalec niejaki Potocki, po krótkiej rozmowie w gabinecie z gospodynią, Potocki celnym strzałem z rewolweru, wymierzonym w czoło, zabił na miejscu Kalinowską. Następnie wszedł na salę, podszedł do stolika, przy którym siedzieli ekspułkownik N. i kilku jeszcze gości, i ze słowami „doczekałem się już“ strzelił sobie w usta“.







## Wyrwane kartki.

„Okropnie jestem dziś zdenerwowana. Porywa mnie pasya... Zdaje mi się, że gdybym puściła, rozluźniła swoje nerwy, stałyby się pomiany...

Pominę zęby, które zgrzytają, coś żują, niepokoją się... Pominę palce zaostrome ostremi w klin paznokciami, gotujące się do darcia, szarpania... pominę duszę rwącą się jak potok, jak stepowe wichry do, do, alboż wiem do czego?

Coś we mnie chodzi, coś mną rzuca, poniewiera, gnębi...

Chcę gryźć. Chcę rwać. Chcę kaleczyć!... Nawet chcę umrzeć!

Wczoraj wieczorem była u mnie Władka.

Opowiadała mi wśród szalonej rozpacz, łkań, popieranym źródłami przepięknych błyszczących łez, że została porzucona.

Tuliła do moich piersi swoją śliczną rozczochraną głowę. Spazmatycznie chwytła moje ręce i tuliła do swej gorącej szyi.

— Umrę.. Umrę... wyrывało się z jej skołataniej piersi.

Byłam bezradna.

Nie próbowałam nawet jej uspakajać. Znałto znam podobny stan duszy kobiecej. Wiedziałam, jak to boli, jak męczy, ta właśnie własna bezsilność...

Boć kobieta porzucona przez mężczyznę jest naprawdę nieszczęśliwa i nawet nieskończenie bezsilna.

Gdyby wtenczas była silną, to jestem pewna, że wściekłość doprowadziłaby ją do czegoś niemożliwego, czegoś potwornego — — — Sądzę, że dęby z korzeniami fruwałyby w powietrzu, że góry, pod szalonym naciskiem potężnej kobiecej złości, usuwałyby się z miejsca na miejsce.

Wielka szkoda, że nie zostałam literatką... Och! wtedy pisałabym prawdziwe szaleństwa na kobiety...

Najskrytsze myśli, zachcenia, dążenia poszłyby w świat.

Wieleby tam było brudu i podłości!



Wielkich, nikczemnych i szalenie głupich podłości!

Wszak historia kobiety, już dziś jaką jest— jest niezwykle plugawa — —

Wszak świat posiadał zaledwie kilka, czy kilkanaście kobiet u szczytu, to jest na tronie.

I drżała wtedy, drży i dziś ludzkość, gdy wspomni ich czyny — — —

Taka Agrypina, Mesalina, Kleopatra, Izabela, i jeszcze inne...

Doprawdy, dusza się wzdryga.

A dzisiejsze okazy ostatniej doby kryminalistycznej?

A dzisiejsze domy publiczne? Co?

A ja sama? Co?

Ba! wszak ja jestem wszystkie kobiety... a wszystkie kobiety, to ja!

Ja, brud—ohyda—i zbrodnia!

Światu zdaje się, a szczególnie tym niedouczonym mędrkom, że znają kobietę.

To jest kłamstwo! Ohydne, podłe kłamstwo!

Od wielu lat idzie błazeńska walka o wyzwolenie kobiety, o ten głupi bęben dla nędznych doboszów... Tak, tak... Ale niech że mi teraz kto powie, co to jest to „wyzwolenie“?...

Wszak tysiącami te „uciemiężone“ żony bezwstydnie i bezkarnie uprawiają cudzołóstwo...



Wszak każda z kobiet jest własną artystką swego życia i czyni, co jej się tylko podoba. Moi rodzice chcieli, abym była dobrą matką i czułą, posłuszną żoną, a jestem ładacznicą.. Chciałam i jestem i nikogo o to nie winię. Tak samo Zosi nikt nie zabronił być doktorem, a innej adwokatem. Uczonym matematykiem. Artystką. Malarką. Utrzymanką, lub skończoną prostytutką...

Więc, gdzież owo okrzyczane prześladowanie kobiet?..

Głupie urojenia brzydkich, wysuszonych samiczek.

Kobieta bezdzielna nienawidzi dzieci.

Stara panna nienawidzi mężatek — przez zazdrość, a mężczyznę się brzydzi, bo wściekłość ją bodzie, że tamtą, a nie ją upodobał sobie...

Mnie się zdaje, że mężczyźni są za dobrzy, za uczciwi...

Tak panowie, tak, wy jesteście, a szczególnie, wy polacy, za czuli dla kobiety... Wy za pochopnie ustępujecie kobiecie... Za bardzo ją cenicie...

Wszak kontuszowi polacy z kobiecego pantofelka węgryzn w gardziel sobie lali.

Nędzni komedjanci!





## P o d ł a.

**G**dyby nie cudnie piękne oczy tego chłopięcia i główka pokryta jasno złotymi kędziorkami, to kto wie, przez jakie ścieżki —kroczyłyby dzisiaj...

Kto wie—czy zbrodnią złamany nie wycierałyby ścian ponurego i zimnego więzienia, lub też z numerem na plecach, przykuty na łańcuchu, jak pies przy budzie—do taczki, konał i kłął wśród wstrętnych i ohydnych nor kopalń syberyjskich.

Kto wie... czyby zaraz, o, w tej chwili po spełnionym mordzie łeb roztrzaskał o ścianę lub na gardło zarzucił stryzynek, i na pierwszym lepszym haku czy gałęzi—zadyndał...

Kto wie, co by było... a możeby oszalał, i z pianą na ustach, skołowaciałemi oczyma tułał się po ulicach miasta, a za nim zgraja wyrostków, krzycząc „warjat“, rzuca błotem i kamieniami..

Tak, tak, kto wie—coby było.

Niewinne, anielsko piękne, a tak potężne w swej mocy oczęta dzieciny tej wstrzymały cios... jeden moment... jedno uderzenie i... już byłby zbrodniarzem.

Tak, nawet chciał nim być, bo z jakimś uczuciem rozkoszy, z jakąś szaloną żądzą, nie-pohamowanym zapalem — podniósł topór nad jej głową...

Ona siedziała przy stole, na pozór spokojna, rękoma podparła brodę...

Spokojna, a jednak z jej ust wązkich płynęły słowa zuchwałe, cyniczne...

— Julka, złość odbiera ci rozum, przestań, rzekł znowu tonem wielkiej prośby.

Jeszcze większym potokiem wymysłów bryznąła mu w uszy. Każde słowo było obelgą, każda klątwa głęboką raną, a tak bolesną, że wił się, jak robak, którego pierś przebito szpilką.

Wstał, przeszedł się po pokoju i ręce łamiąc wyszeptał:

— Kobieto, czego chcesz odemnie?

— Jesteś nikczemny, jesteś podły, twoja matka była pijaczką, gdybyś łajdaku, łotrze...

Zmarszczył brwi, ręce zacisnął;

— Przestań,—rzekł groźnie, bo przestanę być człowiekiem.

Jej usta wązkie skrzywiły się potwornie, bezczelnie. Sucha i zapadnięta pierś poczęła falować, a palce długie, niezgrabne i cienkie



z paznokciami nieczyszczonymi wyciągnęła przed siebie.

— Ty, ty, ty człowiekiem — — ty zwierzu... oberwańcze, nędzaru...

— Zamilcz, bo, bo! wyjdę z siebie,—krzyknął.

Zerwała się, a przystępując kocim krokiem, syknęła.

— Bo co? Nie boję się ciebie! O! masz!

W tej chwili uczuł jak zatopiła paznokiec w jego twarzy.

Prawie bezprzytomny z bólu i oburzenia, bezwiednie chwycił jej ręce, ścisnął i pchnął przed siebie.

Kobieta zatoczyła się, jak pijana.

— Zbój! zbrodniarz! Bodaż cię Bóg skarał! krzyczała całym głosem.

Już wygiął się naprzód, wyciągnął swe olbrzymie dłonie, aby chwycić za gardło, i zdusić, zatrzymać ten nowy potok obelg pokrywających go i szarpiących duszę bez miłosierdzia.

Wtem drgnął.

Jej cienka szyja przeraziła go. Zrobiło mu się strasznie i cofnął się zawstydzony i przełknięty. Potężne dłonie opadły bezsilnie.

Ona zaś, widząc jego wahanie, jeszcze bardziej roznamietniała się własną złością, upajała się własnymi słowami. Mała i nędzna jej postać dygotała febrycznym atakiem.

— Łajdak, złodziej, zbój, — syczała w szalonej złości.

— Nie pastw się nademną, bo cię ukarzę nareszcie, — rzekł, obcierając płynącą krew z twarzy.

Wtedy ona z nową furją przyskoczyła i spienionemi ślinami bryznęła w zakrwawioną twarz męża.

— Masz jeszcze, łajdaku.

— Zmiażdżę cię, jak robaka, — syknął.

Teraz trzymał ją za ramiona i cisnął jak kleszczami.

— Puść rakarzu, — wyła, plując dalej w zakrwawioną twarz.

W tej chwili zapłakało dziecko.

Kleszcze się rozwarły i opadły w bezwładzie, jak złamana gałąź.

— Widzisz Janeczku, mówiła zmęczoną pierśią, pochylając się nad łóżeczkiem, ten zbój chciał mnie zabić, zamordować, taki podły, nikczemny... zabić chciał, za moje dobre serce... podlec... bodaj go Bóg ukarał na tem, co najlepiej kocha...

Dziecku oczęta zaczęły się kleić.

— A gdzie tatuś? spytało jakby przez sen.

— A siedzi ten zbrodniarz... ten łajdak...

Dziecko usnęło, a matka-człowiek dalej bryzgała przekleństwami i wymysłami.

A mąż, ten żywiciel i opiekun, słuchał.

Dumał nad losem swoim...

„Co Bóg złączył, ludzie nie rozłączą“ — strzelało mu po głowie.

Bolały go przekleństwa, bolały i rany zadane ostremi paznokciami. Czuł, jak ciepłej krwi krople spadają po policzkach, dwie nawet większe upadły na ręce i jak bajeczne potwory patrzyły olbrzymiemi czerwono-czarnemi oczami...

Im więcej myślał i zastanawiał się nad temi dwiema kroplami krwi, tem mocniej zdumiewał się nad sobą...

Jakże to być może... wszak gdyby tylko chciał, to jedną ręką, jednym uderzeniem rozbiłby jak orzech... Głupi, on zawsze głupi, przecież trzymał ją za ręce... wtedy mógł podnieść w górę i grzmotnąć gdzie w kąt — — to pewna, ani jedna kosteczka nie zostałaby cała...

— Będę jutro ładnie wyglądał, — myślał dalej — głęboko musiała poorać, kiedy krew płynie jeszcze...

— Taki podlec, nędzarzem był, i nędzarzem zdechnie, ani za nim chodziłam... chce być panem, a w jednym pokoju mieszka... siostry za rzemieślnikami — wielkie państwo, a matka żydom posługiwała i piła...

— Podła ty, podła jesteś — jęknął,

— Łajdak, rakarz, zbój, — syczała podburzona na nowo.



— Nie, wytrzymać już trudno, — szepnął, chwytając się za głowę...

W tej chwili zdało mu się, że chwyta go jakaś nieznaną siłą, że go zakreśliła jak huragan kupą zeschniętych liści, rzuciła jak piłką; że dusi, dławi, szamocze... a pod czerepem uczuwał jakieś szalone walenie i szum, jakby stu skrzydeł orlich...

— Bij, bij!—naraż usłyszał głosów tysiące. Obejrzał się.

— Zabij!—ktoś wrzasnął w prawe ucho.

— Zabij,—szepciem tajemnym szło od ściany.

Zaczął się oglądać na wszystkie strony i oczyma szukał niewidzialnych szeptów...

Szły ze wszystkich stron: od okna, z pod stolika, z pod łóżka, nawet z pod łóżeczka śpiącego dziecka, a już z szarych kątów leciało ich takie mnóstwo, że poprostu dziwił się, że może ktoś tyle głosów na raz wyrzucać...

— Śpię, czy co? myślał, przecierając czoło.

Bezwiednie ręką dotknął rauki... Uczułostry ból.

— Zabij! bij!... Zabij!—huknęły jeszcze głósniej tajemnicze głosy.

— Warjat! Wa-r-j-a-a-t!—ktoś wrzasnął nad uchem.

— Won—warknął, zaciskając zęby.

— Ach, ty nędzarzu, ty zbóju, ty sam się wynoś!

— Bij, bij!—zagrzmiały jeszcze mocniejsze głosy.

W kącie, na prawo, przy stoliku stała oparta obuchem o ścianę siekiera...

Zrana wbijał nią hak dla zawieszenia grupy fotograficznej.

Dziwna rzecz, siekiera teraz żyła.

Tak, tak, ona najgłośniej krzyczała

— Bij! Zabij!

Chwilami, nawet przybliżała się zupełnie, prawie pod same nogi.

Tylko rękę wyciągnąć.

Przed chwilą była tak blisko, że dotykała nogi.

Chciał ją kopnąć, lecz ona rzekła „bierz“.

— Won—warknął po raz drugi.

Z ust kobiety posypały się nowe przekleństwa i złorzeczenia.

— Bierz, bierz,—już ze swego kąta bezczelnie kusila siekiera.

— Zabij, zabij, uparcie podpowiadały tajemnicze głosy.

Machinalnie wstał, głowę do góry zadarł, pierś podniósł naprzód, ramiona wyprostował nad głową, naprężył się, jak człowiek, kiedy się zbyt długo zasiedzi, i zaczął wyglądać po kątach.

— Tutaj, tu, huczała siekiera i brała się naprzód.

— Zabij! Zabij!—tajemnie a głośno krzyczały kąty.

Teraz nabrał w piersi tchu, ręce rzucił przed siebie.

Już jest przy siekierze.

Wziął w rękę, poprobował, czy mocno osadzone żelazo... uniósł w górę po nad głową, zrobił młynka aż świsnęło w powietrzu... następnie przerzucił do lewej ręki, w prawą garść plunął, aby się nie ślizgnęło przy uderzeniu.

— Za twoje krzywdy,—szeptało mu coś w duszy.

— Uderz, a dobrze... tak z prawej na lewo, szepnął jeszcze raz ten sam wewnętrzny głos.

Postawił lewą nogę na przód, a potem, po chwilowym namyśle, zrobił jeszcze jeden krok, i jeszcze jeden... a potem zaraz osadził się mocno, tak niby po chłopsku, jak do zrąbania sosny...

Już... już miał grzmotnąć — gdy oczy jego spotkały się z utkwionymi jasnymi oczami dziecka...

Od oczu tych leciał jakiś przerażający niemy wyrzut, jakaś straszna potulna prośba, błaganie o litość!

Te oczy piękne, jasne jak habry, a niewinne jak rosa, patrzyły uparcie, tak uparcie, i tak krzepko, że zląkł się ich...



I zrobiło mu się straszno! ogarnął go okropny lęk.

Włosy stanęły mu dębem, a ciało zaczęło się trząść, jak w chwili śmierci...

Leez w tej chwili otoczyły go zwartym szeregiem mary widoczne. Zaczęły go targać za nogi, boki, ręce... Jedne biegły prędko, i jak szalone przyskakiwały, szczypiąc po rękach, krzyczały z całych piersi:

— Bij! bij!... Gł-u-u-u-p-cz-c-e-e, b-i-j!

Drugie zaś, podchodziły krokiem wolnym, poważnie, i z miną zimnych filozofów, wyciągały w kierunku siedzącej kobiety długie ręce i szepotały twardo, rozkazująco:

— Uderz, tylko raz, a wszystko się skończy.

— Skończy! Skończy... chichotały te, które siedziały w kątach i ścianach, a teraz ciągnęły białe obrzydliwe brzuchy po podłodze, i pełzały do niego, szczerząc bezzębne wstrętne mordy.

A on stał gotowy do uderzenia. Stał, widział wszystko, ale i widział utkwione w siebie oczy dziecka.

Te oczy patrzyły coraz głębiej, głębiej ..

Przeżarły mózg, przeżarły serce i wlażyły do duszy.

Niewinne, piękne oczy dziecka!

Potężne w swej niemej prośbie...

Jeszcze jedna chwila i zaciśnięte silne pięście rozwarły się bezsilne.

W tej chwili poczuł przerażający nieład i pustkę pod czerepem, za wysuszone gardło chwyciły go jakieś niewidzialne kleszcze i zabrakło mu tchu i powietrza w płucach.

Zaraz pierzchły wstrętne widziadła, tak jak ranna mgła przed złotymi promieniami budzącego się słońca, pierzchły, kryjąc się pokątach słabo oświetlonego pokoju.

Jedne uciekały na łeb na szyję; gniotły się, popychały, przewracały i tworzyły ze swoich ciał wielkie góry, po chwili zapadające się gdzieś pod podłogę — —

Drugie zaś szły prędkimi krokami, ale wolno, na palcach, miękko, zalotnie oglądały się, groziły lekko palcami, a chychocząc jakby szydząc szeptały:

— Głupi — — głupi — — G-l-u-u-p-i-i.

— Ojczulku, idź spać.

Głos dziecka ostatecznie zbudził go z tego straszego snu... Cofnął się na palcach, cicho ułożył siekiere pod stolikiem...

— Ojczulku, idź spać, — powtórzyło dziecko.

— Dobrze syneczku — daj buzi — —

Podszedł do łóżeczka, wziął dziecię za rączki i zaczął nimi gładzić krwią polepioną i poranioną swoją twarz.

Roztarte ranki zaczęły sączyć świeżą krwią, która czarnymi kroplami spadała na twarzyczkę dziecka i na jasne kędziory.

Za chwilę głuche, bo siłą męskiej woli tłumione łkanie rwało pierś mężką.

— Ojczulku, idź spać, prosiło dziecko, całując ze wszystkich stron twarz ojca.

I spłynęły w jeden drogi miłosny akord pocałunki ojca z pocałunkami syna. W tym akordzie niema bólów, niema mąk. Tam wszystko dobre, wszystko piękne... bo to miłość!...







## ŚmieJCie się.

**B**iażny całego świata! ŚmieJCie się!...  
ŚmieJCie się z całej duszy! ŚmieJCie się—niech bezmyślny wasz śmiech będzie dla wszelkiej kanalji — oklaskiem...

ŚmieJCie się!—chociaż cuchnąca kałuża błota w gardła się wasze leje.

ŚmieJCie się nad matką, gdy z bólu kona przy trupie dziecięcia...

ŚmieJCie się, nad sobaczem życiem męża, któremu żona „choruje“ na „nieuczciwość“.

ŚmieJCie się i nad nowonarodzonym dzieckiem, którego matka myśli—„Który też to może być jego ojciec“?...

ŚmieJCie się i nad Jadzią, młodziutką właścicielką „wielkiego szczęścia do mężczyzn“.

ŚmieJCie się! — Wszak Jadziunia zaledwie ukończyła czternaście lat, a już umiała tak pa-

trzeć na mężczyzn, i uśmiechać się zagadkowo, że każdy, mijając ją na ulicy, musiał obejrzeć się.

A Jadzieczka nie była wcale wybredną.

To też w szesnastym roku liczyła znajomych kilkunastu.

Na narodowość wielbicieli nie uważała.

Żyd, rosjanin, polak, aby tylko w spodniach — to dobry...

Była jednak uczciwa.

Na zwracaną uwagę, śmiejąc się, odpowiadała.

— Cóż jest w tym złego, „mam szczęście do mężczyzn“.

Ostatecznie dobiegła dwudziestu lat.

Trafił się jeden gorętszy, zapalony, pół poeta, a może pół-dureń... i ten wpadł.

Musiał się ożenić...

Była żoną i matką i jeszcze miała „szczęście do mężczyzn“.

Mąż pisywał wiersze, a kochana żona, aby męża imię „rozpowszechnić“, przepisywała z rękopisów, przerabiała na imiona kochanków i im wysyłała jako własne listy.

Udawało się długo.

Jednego słotnego dnia mąż wyszedł, jak zwykle, do pracy. Padał śnieg, wiatr dał, w letnim paltocie — — coś chcecie, podwiało,

uczul dreszcze i klucie w lewym boku... pracował dwie godziny... paliło w ustach... w głowie młoty były...

Zamiast o drugiej, o dziesiątej już był w domu.

Wchodzi, ociera pot ze zmęczonego czoła.

Zona przy stoliku pisze.

Pajace! Hej! no! Pajace śmiecie się!

Spojrzała na wchodzącego męża i zbladła.

A mąż? ten żywiciel i opiekun?

Nie — — tylko uczul, że mu ktoś wsadził tępy patyk w piersi.

Trochę się skurczył, oczyma błysnął, nawet utworzył sine wargi — — dla nabrania powietrza.

— Do kogo piszesz?— spytał, o ile mógł najłagodniej.

— Tak, nie, to jest, no— piszę wiersze.

Jąka się, kręci i gwałtownie składa papier listowy i chowa do kieszeni.

— Pokaż Jądziu... przeczytam,— mówi drżącym głosem.

Zona zrywa się i chce wyjść do kuchni.

Chwył za rękę i ścisnął jak kleszczami.

— Nie wyjdiesz... pokąd nie oddasz... tego... no, tego zapisanego papieru.



— Puść mi rękę — — to nic nie jest.

Udawała śmiech.

— Daj — — mówi mąż twardo.

— Nie dam, — odpowiada z jakimś tępym uporem.

— Puść, boli, — mówi z jękiem.

— Daj, — warczy mąż.

Chwytał za drugą rękę, kręci w stawach.

— Boli — — litości...

Łzy leją się gradem... kobieta płacze.

— Daj — — bo zabiję.

— Zabij!

Wtedy mąż wykręcił jeszcze mocniej rękę, trzasnęło w stawach. .

Kobieta usunęła się zemdlona.

Drżącymi rękoma zaczął szukać między fałdami sukni kieszeni.

Namacał ma—

Ale, gdzież ten przekłęty otwór kieszeni.

Chce rwać suknie, materiał mocny, chwytła zębami...

Rwie — —

Materiał mocny, ale zęby jeszcze mocniejsze.

Za chwilę list trzyma w ręku—czyta -- —

„Najdroższy Stasieczku“

Hej! błazny całego świata, śmiecie się! . . .

Świeciło jasne słońce. Pani Jadwiga na wsi.

Ramiona nie bolą złe i dobre mija.

Dwoje dzieci, piękne jak aniołki, bawią się opodal.

Drogą idzie parobek, kosa na ramieniu, wytarta czapka na nieczesanym łbie, nogi bose.

Żona i matka patrzy—drgnęła.

Chłop stanął, czapką ukłon śle.

Kobieta podejrzliwie patrzy i tam i sam.  
Pusto.

Poszli za stodołę... Objęła mu szyję .. całuje w oczy... tuli nieczesany łeb chłopca.

— Ja ciebie tak kocham, szepcze namiętnie.

Niebo się mści na podłych... ludzie uczciwi na rozpustę nie mogą patrzeć.

W kilka tygodni przyjeżdża mąż.

Ukochana żona rozplywa się zradości, tuli, pieści, ciśnie do drżącego łona.

— Mój, mój, ty najdroższy,—szepcze pie-szczotliwie.

Koło stodoły djabeł siedzi, patrzy i śmieje się, a ogonem bije, a jęzorem mlaszcze.

Po dwóch dniach mąż wie wszystko. Ma

już wszystkie dowody — — nawet zasuszone  
kwiatki...

A co, prawda jakie życie! Precz kolce! Róże  
same ścielą się pod nogi.

Pajace całego świata! Śmiejcie się!



**Koniec części pierwszej.**



## Spis rzeczy

*zawartych w części pierwszej.*

	<i>str.</i>
<i>Kobieta wyzwolona . . . . .</i>	6
<i>Walka . . . . .</i>	25
<i>Kobieta arystokratka . . . . .</i>	38
<i>Te kobiety . . . . .</i>	47
<i>Męty . . . . .</i>	57
<i>Historja dwóch serc . . . . .</i>	77
<i>Wyrwane kartki . . . . .</i>	90
<i>Podła . . . . .</i>	94
<i>Śmiejcie się . . . . .</i>	105





## Drugie prace tegoż autora.

SOKÓŁ przewodnik 1907 r.

ŻYCIE TO NIC szkice psychologiczne, z ka-  
jetu neurastenika 1909 r.

DZIEJOWA SPUŚCIZNA, powieść z ostatnich  
czasów 1910 r.

SZARZYŹNY WILNA, szkice i nowelle 1911 r.

### W przygotowaniu.

SZKICE DRAMATYCZNE.

ŻYCIE TO NIC, wydanie drugie.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-53









F

18.422